Nr. 28. Poznań, Niedziela 7go Października 1894 r. Rok I.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

Przedpłata kwartalna
wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TRESC:

Caveant consules.
Polityka: Niebezpieczeństwo anarchii p. I. Moszczeńską. — Przegląd prasy słowiańskiej p. K.
Badania naukowe. Słówko o filozofii p. Gabryelskiego p. St.
Literatura i sztuka: Książka St. Koźmiana o r. 1863 p. K. Bartoszewicza. (Ciag dalszy.) — Listy W. Cybulskiego do Hanki, (Dokończenie.) ogłosił Edward Jelinek.
Szkoła i wychowanie: Klasycyzm i realizm w Prusiech w walce o szkołę p. Romualda Łazęgę. (Ciąg dalszy.)
Życie społeczne: Kronika wiedeńska p. Essi. — Kronika krakowska p. K. Bartoszewicza.
Z estrady i sceny: Maruder, komedya w III aktach p. S. Graybnera. Ocenił W. R.
Feljeton: Na Wyłomie, przez Sullę.
Kronika literacka.
Kronika powszechna.
Bibliografia.
Odpowiedzi Redakcyi.
Składki.
Odcinek: Mogiła p. Maurycego Zycha. — Dzieje małżeńskie, IV. p. Strindberga, tłum. Empa.(Dokończenie).

Caveant consules.

Artykuł nasz „Rewelacya“ (Nr. 26) wywarł mimo trwożnego milczenia organów ugodowych wybitne wrażenie w całej prowincyi. Głośnym oskarzeniom opartym na mglistych przeczuciach i domyślnikach dostarczyliśmy podstawy realnej, silnej i niewątpliwej, a opozycya narodowa dzis z dokumentami w ręku żądać może rachunku i zadosyćuczynienia za krzywdy doznane. Ze wszystkich stron Księstwa i Prus Zachodnich odbieramy listy interesujące, zaopatrzone w obfity materyał dowodowy dla skreślonej przez nas charakterystyki stosunków, — ciekawe ilustracye tych właśnie koteryi, które *w stronniczej* działalności upatrywały kardynalną winę opozycyi, a same sieci intrygi partyjnej rozrzucały skrzętnie i zręcznie po kraju. Spotykaliśmy tyle razy w dziennikach, sterujących opinią publiczną, twierdzenie, że naród w naszych warunkach obozów mieć nie powinien, — nasłuchaliśmy się tyle o owej solidarności, która wystąpiła przed nami w charakterze bezwzględnej subordynacyi i historycznego „car tel est mon plaisir“, obdarzono nas tylokrotnie deklamacyami o podstępnyeh manewrach i podziemnych minach — że uczuwamy naturalne pragnienie wyjaśnić choć na kilku przykładach sporną kwestyą poznańskiego „My a Wy“.

W artykule „Rewelacya“ wykazaliśmy konieczność bezstronności w *komitetowych korporacyach*, jako nieodzowny warunek solidarnej walki z germańskim żywiołem, — równocześnie jeżnak oświadczyliśmy otwarcie, że *w łonie wyborców* przyznajemy stanowczo prawo bytu partyjnym obozom. To też przytaczając dzisiaj ilustracyę stronniczej działalności ugodowców*) naszych, nie odmawiamy bynajmniej praw istnienia tej akcyi, lecz pragniemy z jednej strony złożyć dowód bijący, że w całem tego słowa znaczeniu obóz polityczny z nader ruchliwym aparatem stronniczym ci właśnie tworzyli, którzy formowanie obozów lubili piętnować jako zdradę sztandaru, a z drugiej strony wyjaśnić, że fortele używane w kampanii z opozycyą poznańską były nieraz bezwzględne i ryzykowne.

Jeden z wybitnych obywateli Księstwa poznańskiego i delegatów powiatowych nadsyła nam w sprawie zeszłorocznych wyborów wiązankę szczegółów, którą poniżej podajemy czytelnikom naszym:

Z prowincyi.

Szanowna Redakcyo!

Uzupełniając „Rewelacyę“ waszą, komunikuję wam kilka nieznanych faktów z niedawnej przeszłości, — garść wspomnień stwierdzających skreśloną przez was ocenę stosunków.

Zebrania przedwyborcze w roku ubiegłym zamianowały już delegatów, komitety i kandydatów polskich, a najwyższa nasza władza wyborcza zwołała, o ile sobie przypominam, zebranie delegatów na środę o godzinie 11 rano. Mieszkając na jednym z najdalej od Poznania położonych krańców Księstwa naszego, przyjechałem o godzinie 12 w nocy w przedeniu zgromadzenia i ku największemu zdziwieniu dowiedziałem się od jednego z gorących zwolenników nowej polityki naszej, że wraca co dopiero z poufnego zgromadzenia delegatów i członków komitetu prowincyonalnego, które za inicyatywą pp. hr. Stanisława Żółtowskiego i szambelana Komierowskiego wieczorem o godz. 8 w Bazarze się odbyło. Szanowny mój kolega-delegat dodał, że wiele tam słomy namłócono i wyraził swe zdziwienie, że mnie na zebraniu nie ujrzał. Odpowiedziałem, że poraz pierwszy o poufnem zgromadzeniu słyszę i żadnego zaproszenia nie otrzymałem. Wtedy kolega pokazał mi zaproszenie litografowane czy też hektografowane, opatrzone podpisami dwóch wyżej wymienjoych panów, i zakomunikował mi, że na zebraniu poufnem radzono nad wyborem komitetu prowincyonalnego i przyszłych kandydatów poselskich. Przypuszczałem jako człowiek nieuprzedzony, że chyba z powodu jakiegoś przypadku zaproszenie rąk moich nie doszło. Ku największemu zdumieniu jednak dowiedziałem się na drugi dzień, że pominięcie to było rozmyślne i z góry postanowione. Nie zawezwano bowiem delegatów z Ostrowa, Bydgoszczy, Obornik, Śremu, Mogilna, Inowrocławia, Środy i Miejskiej Górki czyli Krobi, z których 4 ostatni należeli do tak zwanej partyi ludowej, a 4 pierwsi, z łona wyższej inteligencyi, znani są ze swych demokratyczno-postępowych zasad. Na drugi dzień nie dopuszczono do żadnej dyskusyi nad osobami kandydatów do komitetu prowincyonaloego i sejmu, a zwarte szeregi księży i obywateli wiejskich przeprowadziły wybór osobistości, zatwierdzonych na zgromadzeniu poufnem. Takie postępowanie to wykwit okrzyczanej solidarnoćci poznańskiej.

Widziałem nadto na drngi dzień drukowane odezwy „Kuryera Pozn.“, w których redakcya pisma tego wzywa delegatów obozu swojego, aby sami osobiście na walne zebranie przybyli, a nie poruczali czynności swoich zastępcom, należącym poniekąd do innego stronnictwa; *chodzi tu bowiem o zwycięstwo partyi „konserwawnej“*. Na końcu wyczytałem dodatek, że odezwy te „Kuryera Pozn.“ zgadzają się podług

---

* Używamy tej nazwy jako ogólnie przyjętej, chociaż zdaniem naszem nie wyczerpuje ona charakteru koteryi, grupujących się około „Dziennika“ i „Kuryera“.

wszelkiego prawdopodobieństwa *z intencyami ks. arcybiskupa*.

Część delegatów pragnęła także w imię *zgody narodowej i prawa* usunąć oba komitety miasta Poznania, uważając wprawdzie komitet p. dr. Kusztelana za legalnie wybrany, ale funkcyonujący tylko aż do upływu tego pięciolecia, na które zamianowano komitet poprzedni p. Dobrowolskiego. Komitet ten bowiem, otrzymawszy przed końcem urzędowania swojego, wotum niezaufania, złożył urzędy w ręce wyborców, a ci wybrali i wybrać mogli tylko komitet zastępczy. Zdanie to jasne i logiczne popierali nawet pp. Dobrowolski i Cegielski, ale przy głosowaniu nie uzyskało ono większości głosów i upadło: zgromadzenie delegatów, sankcyonowało na podstawie solidarności partyjnej fakt nielegalny, sprzeczny wszelkim pojęciom logiki i prawa.

Obawa przed wątpliwym rezultatem wyborów do komitetu poznańskiego skłoniła ugodowców naszych do podeptania słusznych wymagań wyborców.

Z głębokim szacunkiem

N. N."

List powyższy nie wymaga żadnych komentarzy. Odsłania on odważnie na podstawie faktów, ile stronniczych zabiegów w ruch wprawiły obozy „ładu i porządku", ile podziemnych knowań i bezprawia nawet rzucili na szalę walki zwycięzcy. Postępowanie to jednak nie byłoby mimo bezwzględności swojej rozdarło społeczeństwa naszego, gdyby komitet prowincyonalny i komitet poznański nie wywiesiły jaskrawo-stronniczych sztandarów. Wina ta z tą samą chwilą stała się niewątpliwą, gdy w łamach pisma naszego ukazał się tajny reskrypt komitetu prowincyonalnego. Dziś zatem czas już najwyższy, aby społeczeństwu w imię dobra publicznego i sprawiedliwości dać jakiekolwiek zadośćuczynienie, dawne długi wymazać, dawne błędy, choć w części tylko, naprawić. Sprawa poznańskiego rozłamu dziś więcej niż kiedykolwiek woła o bezstronny wyrok i przywrócenie zatraconej harmonii. W chwili, gdy żywioł germański zbroi się do nowego zamachu na byt narodowy społeczeństwa polskiego, — w chwili, gdy z wszystkich stron płyną głosy niemieckie: Ukrzyżuj! a z wyżyn tronowych spada grom toruński, — w chwili, gdy wróg otwarcie siły swoje gromadzi dla wytępienia ludu polskiego, — wszelka chwiejność i lekceważenie sprawy byłyby szaleństwem. Komitet prowincyonalny powinien zatem natychmiast zwołać zebranie delegatów i uregulować stosunki poznańskie. Postulat ten wypowiadamy nietylko ze stanowiska dobra publicznego, lecz i z tego względu, że *na ostatniem zebraniu delegatów nie wyczerpano porządku dziennego, a na odnośną interpelacyę komitet obiecał w najbliższym już czasie zwołać nowe zebranie i zaległe sprawy załatwić*. Minął już rok nieomal, a słowo słowem pozostało. Czas zatem największy, aby spełnić obietnicę i — *obowiązek*.

W jaki sposób komitet prowincyonalny rozwikła poznańskie stosunki, tego przesądzać nie możemy. Sądzimy jednak, że w obecnych warunkach jedna tylko droga prowadzi do celu: *Rozwiązanie obu komitetów poznańskich i nowe wybory*. Komitet ruchu ludowego nie posiada prawnej podstawy, a komitet dr. Kusztelana opiera się wprawdzie na wyborze legalnym, lecz powołany został do życia przez zebranie bezprawnie odbyte i pod presyą *stronniczego* ukazu najwyższej władzy wyborczej obradujące. Tu i tam zatem egzystencya oparta jest na fundamencie kruchym, nie wytrzymującym objektywnej krytyki. Do wyżyn takiej krytyki wznieść się powinien komitet prowincyonalny, bo tylko wtedy pomyślny skutek usiłowania jego uwieńczy. Przekonani jesteśmy, że rozpisanie nowych wyborów nie stłumi wprawdzie ruchu ludowego, lecz skłoni go niewątpliwie do opuszczenia dotychczasowej pozycyi izolowanej. Gdyby zaś słowa nasze przebrzmieć miały bez echa, to rozłam w społeczeństwie naszem wzmagać się będzie z dnia na dzień, a z rozłamu tego zwycięzcą wyjdzie nasz wspólny, potężny i silnie zorganizowany wróg niemiecki, „Orędownik" w najświeższym czasie zagroził stworzeniem drugiego komitetu prowincyonalnego. Byłaby to nowa klęska dla narodu, nowe zamieszanie i rozprzężenie. Raz jeszcze zatem dla dobra sprawy ojczystej głos nasz podnosimy. Czas nagli! Caveant consules!

POLITYKA.

Niebezpieczeństwo anarchizmu.

(Le Péril anarchiste p. Félix Dubois).

I.

Pokój i bezpieczeństwo państw cywilizowanych, pokój oparty na sile militarnej, podtrzymywanej podatkami uciskającemi narody, pokój o którym zapewniają nas wszystkie mowy tronowe, orędzia cesarskie i królewskie — przemówienia ministrów i artykuły pism urzędowych, nie jest jasną — słoneczną — niezamąconą pogodą — lecz chwilą ciszy, która burzę poprzedza. Atmosfera europejska parna jest i duszna, na horyzoncie chmury się gromadzą, a daleki grzmot zapowiada walkę żywiołów.

Zmowy robotników, zdarzające się tu i owdzie rewolucyjne wybuchy, szybko tłumione przewagą armat i bagnetów, huk bomb dynamitowych, zakłócający wesoły humor Paryżan, wreszcie ostatnie głośne lugduńskie morderstwo — oto znaki czasu, które do poważnego zastanowienia się nad przyszłością skłaniają.

Coś się zepsuło w ustroju społecznym, coś skrzypi w rydwanie cywilizacyi, który wciąż jeszcze posuwa się naprzód — lecz toczy się chwiejnie, ruchem niepewnym, budząc obawy wykolejenia — katastrofy.

Rządy europejskie usiłują tę katastrofę powstrzymać lub zażegnać, niektóre z nich, jak włoski i francuzki, wchodzą na drogę reakcyi, która w rezultacie niczemu nie zapobiega, przeciwnie, silniejszem jeszcze uczynić może przyszłe wstrząśnienie. Klasy rządzące wszystkich społeczeństw podają sobie ręce do wspólnej akcyi przeciw stronnictwom przewrotu, czy jednak zwyciężyć je zdołają — to przyszłość dopiero okaże.

Aby zapobiedz grożącemu niebezpieczeństwu trzeba mu przedewszystkiem śmiało spojrzeć w oczy, poznać zkąd płynie, jakiemi drogami do nas dąży, wiedzieć, kto nam grozi, i jakiemi środkami groźby swe urzeczywistnić zamierza. Chcąc społeczeństwo swoje w tej kwestyi objaśnić, „Figaro" paryzkie wydało książeczkę zawierającą krótką lecz dosadną charakterystykę anarchicznej partyi.

Zrodzona zaledwie 20 lat temu, wskutek rywalizacyi Bakunina z Marksem — partya ta niezorganizowana, luźna, żadnym regułom ani prawom niepoddana, przerażająco szybko urosła liczebnie — i stanowić zaczęła siłę niewystarczającą wprawdzie do przeprowadzenia któregokolwiek ze swych celów, lecz aż nadto potężną, by wstrząsnąć fundamentami istniejącego porządku.

Antagonizm Marksa i Bakunina, z których ostatni nie mogąc cierpieć przewagi i władzy pierwszego, użył wszelkich środków, aby Międzynarodówkę rozbić i znacznie większą część od związku oderwać, był niejako symbolem tego antagonizmu, jaki dziś jeszcze między socyalizmem a anarchizmem istnieje.

Dwa te stronnictwa określane wspólną nazwą stronnictw przewrotu, prócz rewolucyjnych

---

12)

MOGIŁA.

LISTY I NOTATKI MAURYCEGO ZYCHA.

(Ciąg dalszy.)

Nie jestem wcale tak zepsuty, abym nie rozumiał tego, że, prezentując broń przez czas trwania operacyi, my wszyscy, widzowie, czciliśmy w tym wypadku przejaw potęgi prawa pisanego, ale zanim pierwsze razy padły i kiedy wszyscy mieliśmy oczy zwrócone na obnażonego, scena miała sens taki, jakby ta ogromna kupa ludzi oddawała z najwyższem namaszczeniem honory wojskowe — tym razem wystawionej manifestacyjnie na pokaz, a zazwyczaj zasłoniętej szczelnie okolicy ciała ludzkiego.

Rozległa się komenda Czeremisowa:

— Raz, dwa, trzy, cztery...

W przerwach między jednym a drugim rozkazem słychać było świst wici i głębokie westchnienia skazanego żołnierza. Jego białe, drgające ciało pokrywały gęste, granatowe pręgi. Nim oficer naliczył pięćdziesiąt, zaczęła krew tryskać. Po każdem podniesieniu i zamachu wici krew ta, strącona z gałązek, do których przylgła, padała kroplami na obecnych. Operowany kwiczał chwilami zupełnie jak prosiak. Kilkakrotnie usiłował porwać się na nogi, wskutek czego Czeremisów kazał go „potrzymać" towarzyszom i *misterium* odbywało się dalej w porządku.

Nie potrzebuję chyba dodawać, że człowiek tak posiekany nie mógł w dostatecznej mierze panować nad rozmaitemi, najzupełniej zresztą zgodnemi z naturą, funkcyami cielesnej powłoki i przedstawiał się oczom naszym w postaci budzącej odrazę, co właśnie musiały mieć na oku mądre prawa naszego państwa.

Kiedy naliczono tego dobrego okrągłe sto, wici opadły. Byłem zdumiony. Czyżby nadeszło ułaskawienie? Toć wyrok naznaczył 150 uderzeń... Dowiedziałem się później od biegłego w prawie feldwebla, że skazanemu na rózgi służy przywilej rozłożenia kary na dwie raty. Nasz wczorajszy bohater miał swoje chamskie wyrachowanie: po odebraniu pierwszej porcyi owych stu „miotełek", pójdzie do szpitala, wypróżnuje się, wyśpi, wyleży, a dopiero kiedyś tam, gdy się rany zupełnie zagoją, skóra jego wydaną znowu zostanie na pastwę pięćdziesięciu uderzeń. Po drugiej operacyi znowu pójdzie do szpitala, znowu będzie sobie próżnował, spał, leżał, jak król...

Tymczasem opatrzono go, zapięto i postawiono na nogi. Patrząc na tego człowieka, na bydlęcy wyraz jego twarzy, przyszedłem do przekonania, że... à la guerre comme à la guerre.

Śpiewaj słowiczku! Kiedy słucham twych pieśni, wydaje mi się, że mam jeszcze mózg w czaszce, że jeszcze warto myśleć i czuć.

19 Maja.

Zdaję egzamin na podoficera, mustruję tedy żołnierzy i mam ręce tak sforsowane od wykonywania ruchów karabinem, że pisać nie mogę. Upał... Za chwilę trzeba iść znowu. Zeusie! jakże to wszystko jest niezabawne...

24 maja.

Jestem podoficerem! Nareszcie mogę wcale nie chodzić na mustry. Wyspałem się dziś jak odyniec. Teraz nic nie będę robił! Zanim się zacznę przygotowania do egzaminu oficerskiego i zanim nadejdzie czas manewrów, będę próżnował absolutnie, powstrzymam się nawet od pisania tych notatek. Niech tam wszystko jasne *pierony* spalą! jak ma zwyczaj deklamować pewien mój znajomy, piwowar z zawodu. Przed południem spałem w lesie na t. zw. cmentarzysku jadźwingów. I Jadźwingów niech *pierony* spalą! Wszystko mi jedno! Po południu idę natychmiast spać w zboże. Legnę w pierwszej lepszej bruździe żyta i zabawię się

dążeń mało mają między sobą wspólnego. — Jedynie nienawiść do klas uprzywilejowanych, chęć zniesienia wszelkich nierówności społecznych i dopuszczenia biedaków do wspólnej z bogaczami uczty stanowią cechy pokrewne tych partyi. — To też co do działalności burzącej między jednymi i drugimi solidarność poniekąd byłaby możliwą; po za tem socyaliści i anarchiści stoją na dwóch przeciwnych biegunach i gdyby dziś udało im się zwyciężyć wspólnych przeciwników, jutro między nimi samymi najzaciętsza wybuchnąć musiałaby walka.

Socyaliści, jak wiadomo, dążą przedewszystkiem do scentralizowania i uregulowania ekonomicznej produkcyi i konsumcyi. Równość, której pragną, zaprowadziliby kosztem wolności, ich społeczeństwo byłoby wielkim warsztatem, w którym każdy z obywateli pełniłby wyznaczoną sobie służbę za wyznaczone wynagrodzenie. Dobrze wyćwiczona i dobrze żywiona armia robotnicza, oto mniej więcej ideał społeczny wszystkich prawie odłamów socyalistycznej partyi.

Budziłby on wprost wstręt u anarchistów. Ich ideałem jest bezgraniczna wolność, wybujały indywidualizm żadnych więzów ni pęt nie znoszący, — bez względu na to, kto im te pęta narzucić usiłuje: państwo, rząd, czy większość współobywateli. — „Rób co chcesz“ „Wszystko należy do wszystkich“ oto ich dewizy.

Istnieje wśród najinteligentniejszych, najwyżej oświeconych klas społecznych garstka marzycieli, która sądzi, iż z takiej bezgranicznej, niczem nie krępowanej swobody wyłoniłby się właściwy porządek społeczny, „Harmonia naturalna“ z „Pierwotnej dobroci“ człowieka wynikająca.

Charakterystycznym jest fakt, że jeden z pierwszych kongresów anarchistycznych w Bernie r. 1876 potępił komunę paryzkę jako typ despotycznego rządu.

Na tymże samym kongresie w Bernie uchwalono główne, podstawowe zasady anarchizmu:

Część ich negatywna streszcza się w kilku wyrazach:

„*Znieść wszystko co istnieje.*“

1. Znieść własność; wypowiedzieć wojnę kapitałowi, przywilejom wszelkiego rodzaju, wyzyskiwaniu człowieka przez człowieka.
2. Znieść ojczyznę, granice krajów; znieść walki między narodami.
3. Znieść państwo, wszelką władzę dynastyczną, elekcyjną czy doczesną, parlamentaryzm i ciała prawodawcze.

Część pozytywna opiera się na dwóch wyżej przytoczonych zasadach: „Rób co chcesz“ i „Wszystko należy do wszystkich“.

Natura ludzka jednak tak jest zagadkową i niekonsekwentną, ze nawet najśmielsi nowatorowie, najzapalczywsi burzyciele szukają w przeszłości jakiejś tradycyi, na którejby się oprzeć mogli. I anarchiści dla poparcia swych doktryn powołują się na różne powagi dawnych wieków i cytują je z namaszczeniem nie bacząc na to, że niekiedy ci sami autorowie, w których poparcia szukają, skamienieliby z przerażenia, gdyby wiedzieli, do jakich wniosków słowa przez nich rzucone prowadzą.

Nie mówiąc już o tem, że streszczenie owej doktryny wyczytali anarchiści u Rabelais'go w opisie opactwa Thelème, że ztamtąd właśnie zapożyczyli panującej w otoczenin Gargantuy maksymy „Rób co chcesz,“ że La Fontain'owi wykradli aforyzm, służący im za hasło: „L'ennemi c'est le maitre“, ale co najciekawsze i najbardziej zadziwiające — punkt oparcia dla swych rozumowań znaleźli w kazaniach ks. Bossueta. Istotnie czytamy u niego ustęp taki: „Ziemia i jej produkta są tak wspólne dla wszystkich jak powietrze i światło. Bóg wszystkich bez różnicy obdziela, wszelką trawą, która w ziemi kiełkuje i wszystkiem drzewem, które na niej rośnie. Wedle tego przyrodzonego prawa, nikt nie ma prawa wyłącznego do niczego, a wszystko należy do wszystkich.“

Jeśli Bossuet tak wyraźnie anarchistyczną doktrynę sformułował, to ostatecznie dziwić się nie można, że w anarchistycznych bibliotekach figurują tacy autorowie jak Diderot, Rousseau, a wreszcie Proudhon, którego twierdzenie „Własność jest kradzieżą“, stanowi dogmat wszystkich komunistów.

W ostatnich czasach głównymi teoretykami anarchizmu byli Sebastyan Faure, Elizeusz Reclus, Jan Grave, autor słynnych dzieł: „Społeczeństwo umierające“ i „Społeczeństwo po rewolucyi“, Krapotkin, który w swej książce „Zdobycie chleba“ opowiada, iż zniknie nędza i nie będzie ludzi głodnych ani biednych z chwilą, gdy zdołamy azot zamienić w ciało stałe — i żywić się nim!

Z podobnych marzycielskich fantazyi i nieustraszonych hypotez budują anarchistyczni autorowie obraz przyszłego szczęścia ludzkości.

Najpierw należy ich zdaniem zburzyć to wszystko, co cywilizacya stworzyła, zniweczyć wszelką władzę i jej podpory: religię, rodzinę, prawo, sądy, policyą etc. etc. — potem zaś pozostawiając naturze ludzkiej najzupełniejszą swobodę dojdziemy do raju na ziemi, w którym ludzie, jako istoty doskonałe pod natchnieniem „Pierwotnej dobroci“ korzystając z wolności czynienia, co im się podoba, czynić będą tylko rzeczy dobre, pożyteczne, rozumne i piękne.

„Dość tych obosiecznych formuł jak „prawo do pracy“ albo „każdemu oddać całkowity owoc jego pracy — mówi Krapotkin — My żądamy po prostu prawa do dobrobytu dla wszystkich.“

Nie widzą oni w przeprowadzeniu swych planów żadnych trudności, a na każdy zarzut mają gotową odpowiedź. Z chwilą, gdy pełnemi garściami z ogólnych zasobów czerpać nie będzie można, uciekną się do wydzielania racyi — jedynie starców, chorych, dzieci i umysłowo słabych darząc pewnemi przywilejami. — Gdy zabraknie dostatecznej ilości mleka, jedynie nowonarodzeni mieć będą do niego prawo.

Gdy ilość jaj się zmniejszy — zostawią je dla rekonwalescentów. Jeśli drogie materye i kosztowności dla wszystkich nie starczą — pozwolą je zabrać lekkomyślnym kobietom, jeśli je bez rumieńca wstydu nosić się odważą. — Próżniaków naturalnie nie będzie — „któżby był tak głupi, aby odmawiać sobie przyjemności pracy?“

Praca zresztą tak będzie lekką dzięki różnym maszynom i wynalazkom, że nawet najbardziej rozpieszczone Paryżanki chętnie uprawą roli zajmować się będą. — „Chodziłoby tu po prostu o pobawienie się cokolwiek na polu.“ Socyaliści pragnę ośmiogodzinnego dnia pracy, anarchiści twierdzą, że dzięki usunięciu pasożytów wystarczy 5 dni pracy pięciogodzinnej na miesiąc. Przytem wszystko będzie się odbywało w tak anielskiej harmonii i zgodzie, że wszelkie rozkazy, przepisy, posłuszeństwo jednych względem drugich będą rzeczą zbyteczną.

Mimo to wszystko anarchiści nie przypuszczają nawet, aby postęp cywilizacyi wstrzymał się choć na chwilę. Wszystko zburzyć pragną — lecz wszelkie zdobycze postępu chcą zatrzymać — i wierzą — jak widzimy ich wiary nic zachwiać nie jest w stanie — że te wszystkie wynalazki, które dotychczas zawsze rodziła potrzeba — w przyszłości dobra wola i miłość ludzkości tworzyć będzie. — Dziwną niekonsekwencyą ich umysłów jest nieufność i nienawiść względem ludzi współczesnych, a wiara i miłość dla tych, którzy porewolucyjne społeczeństwo utworzą.

„Pierwotna dobroć“ człowieka dzisiaj nie wzbrania mu wyzyskiwać bliźnich, prześladować i uciskać; dobroczynny wpływ wolności nie objawia się w tych, którzy dziś tej wolności używają. Przeciwnie, wszystkie klasy obdarzone obecnie jakąkolwiek niezależnością materyalną są przez anarchistów potępione i znienawidzone, z ich własnych dzieł wyciągać można dowody, że kto osiągnie jakąkolwiek swobodę — ten jej

---

tym porządkiem do wieczora. W owsie spać nie myślę, bo gotów mię wytropić jakiś cham i poczęstować kołkiem. Jutro znowu pójdę na cały dzień spać w żyto. Ja jestem zupełnie osobno, a cały t. zw. świat zupełnie osobno. Niczem się nie będę zajmował, żadnemi t. zw. ludźmi....

---

2 Czerwca.

Tak mi było dobrze, tak spokojnie!... Sypiałem po rozmaitych miedzach, w krzakach albo w lesie, zajmowały mię tylko mrówki, pędraki, paprocie i młode srokosze...

Przedwczoraj rano odnalazł mię w obozie Izmaiłow i poprosił uroczyście na ślub swój z panną Zapaskiewiczówną. Zapomniałem o tej dziewczynie na śmierć od czasu moich *weltschmerzów* i nie widziałem jej chyba ze trzy miesiące.

Ślub odbył się wczoraj w tutejszej cerkwi. Ponieważ zapowiedziany był na godzinę piątą po południu, chciałem tedy dopiero o tej porze ukazać się w cerkwi i wyjść niezwłocznie po hecy. Ale znowu ten, wyznać trzeba, głupi Rogowicz zjawił się u mnie o czwartej i namówił do odwiedzenia domu państwa Zapaskiewiczów przed ślubem. Taki, powiadał, panuje w Wieprzowodach kodeks towarzyski. Usłuchałem go i poszedłem. W całym domu radcy tytularnego pełno było oficerów, wymownych żon oficerskich, urzędników i ich połowic w tureckich szalach, obywateli miasta i innych figur zakazanych z minami szczególnego kalibru. Na kanapie siedział stary pop Anastazy z żoną, obok której skromnie kwitły dwie „maliny“ — Natalia i Olga. Towarzystwo dystyngowane w całem znaczeniu tego wyrazu schroniło się na ganek, osoby nieco mniej wykwintne, oraz osoby z brudnemi paznogciami — już to uparcie i wytrwale sterczały w kątach salonu, już wysączały z kieliszków resztki wina, niedopitego przez roztrzepanych podporuczników. Wrzask wogóle był nadzwyczajny. Na dwu stolikach oficerowie grali w karty. Znaczna większość gości była już o tyle podchmielona, że można było słyszeć wesołe piosenki. Śród ciżby przechadzał się pan Zapaskiewicz, łypiąc oczami i częstując gości drewnianym i bezmyślnym uśmiechem. Powitał mię jakby z frasunkiem i odszedł zaraz, kierując swe wejrzenia i uśmiechy do osób bardziej odemnie godnych jego szacunku. Panna Marya Kłucka przechadzała się po maleńkim ogródku z jakąś wysoko urodzoną przyjaciółką. Zobaczywszy mię w otwartem oknie, zarumieniła się i, że tak powiem, straciła na chwilę możność czarowania oficerów. Złożyłem jej z daleka głęboki ukłon i pogrążyłem się w melancholię oczekiwania na koniec tego wstępu do sakramentu. Czekałem bardzo długo, bo aż do godziny szóstej.

Nareszcie drzwi, prowadzące do sypialni rodu Zapaskiewiczów, zamknięte dotąd, otwarły się szeroko i wyszła najprzód pogrążona w atłasy pani referentowa z miną taką, jakby wychodziła po to jedynie, aby zemdleć przy świadkach. Oczy jej zdawały się nikogo nie widzieć, grube wargi były zaciśnięte z wielkę godnością. Za matką szła panna Jadwiga w bieli, okryta nieskończenie długim welonem. Na twarzy jej nie widać było żadnych wzruszeń, ani cierpienia, ani smutku. Uśmiechała się spokojnie, obojętnie, witała zgromadzonych spojrzeniem chłodnem i poważnem. Panowie oficerowie przerwali grę i wszyscy obecni zbliżyli się gromadami do panny młodej w celu złożenia jej życzeń, czy czegoś w tym rodzaju. Byłem ostatnim bodaj w kolei winszujących... Cóż było powiedzieć i czy godziwą było rzeczą mówić cokolwiek? Uścisnąłem jej rękę i rzekłem szczerze, z głębokiem współczuciem:

— Życzę pani z głębi serca...

Nie mogłem namacać w myśli wyrazu na określenie owych życzeń z głębi serca. Przez całą chwilę mego namysłu patrzyła mi w oczy spojrzeniem ciężkiem jak ołów, bezwładnym i zimnym wzrokiem ironii i dawno przecierpianej krzywdy. Z uśmiechem martwym, przez gwałt woli wywołanym na usta odpowiedziała doprawdy niemiłosiernie mściwem słowem:

— „*Spasibo*“.*)

*) Bóg zapłać.

nadużywa — a mimo to po rewolucyi wszystko ma być inaczej. Też same przyczyny mają wprost przeciwne wywoływać skutki, ciż sami ludzie mają wprost odwrotne swym dzisiejszym okazywać skłonności i to wszystko pod natchnieniem „pierwotnej dobroci!!“

Tak wygląda teorya anarchizmu; anarchizm zaś w praktyce niczem nie zdradza „pierwotnej dobroci“ swych twórców.

Organizacya anarchistycznej partyi jest prawie żadna. Stronnicy wymarzonego przewrotu nie biorą udziału w dzisiejszem życiu publicznem i bynajmniej nie dążą do wpływu na rząd, którego są zasadniczymi przeciwnikami. Stanowią oni liczne, lecz bardzo luźne grupy zbierające się na pogadanki o kwestyach społecznych. Grupy takie tworzą się i rozpadają z wielką łatwością. Jakiś pan X. ogłasza, iż zaprasza towarzyszy do danego lokalu na rozmowę: towarzysze się zbierają, nadają swej grupie nazwę, ogłaszają w gazetach, że utworzyło się kółko anarchistów, odbywające pod danym adresem pogawędki — i oto wszystko. Na zebraniach nie ma ani przewodniczącego, ani porządku dziennego — ani też żadne nie zapadają uchwały. Toż samo dotycze i wszelkich mityngów lub anarchistycznych kongresów. Każdy mówi, co mu się podoba, póki zechce, a gdy się nagadają do syta — wracają do domu.

Częstokroć podawano w wątpliwość, czy głośne zbrodnie popełniane w ostatnim czasie były istotnie dziełem anarchistów, czy też zwykłych zbrodniarzy, którzy się pod tę podszywali nazwę. Wątpliwość tę nasuwał fakt, że w żadnym anarchistycznym procesie nie dostrzeżono śladów obmyślonego i rozgałęzionego spisku — żadnej zmowy, organizacyi, ani tajemniczych wyroków.

Fakt ten jednak łatwo się tłomaczy przez samą istotę anarchizmu.

Nikomu nie należy mówić, co robić powinien, każdy ma sam wiedzieć, czego dokonać może lub zamierza. „Jeźli chcesz wykonać zamach, zabierz się sam do tego — jeżeli zaś potrzeba ci pomocy — poproś jednego lub dwóch przyjaciół, aby ci jej udzielili.“

Towarzysz nie ma bynajmniej obowiązku zawiadomienia swego kółka o zamierzonym czynie. I tak n. p. Vaillant nie uprzedził bynajmniej swych towarzyszy o bombie, którą miał rzucić w Izbie.

Ponieważ nikt nikogo nie kontroluje, nikt nie pyta towarzyszy ani zkąd przychodzą, ani bak się nazywają, więc i agentom policyjnym cardzo łatwo brać udział w pogawędkach anarjkistów, z czego zresztą żadnych nie osiągają korzyści, gdyż poznają na nich tylko teorye partyi, ale nie jej zamiary.

W Hiszpanii i we Włoszech grupy anarchistów tworzą związki — we Francyi nie organizują się wcale.

Dubois oblicza ilość anarchistów „wojujących“ we Francyi na 10,000 mniej więcej. W Paryżu istnieje sto kółek — na prowincyi około pięciuset. Obliczenie to uwzględnia tylko anarchistów, biorących żywy udział w dysputach, pogadankach i w ogólnem życiu stronnictwa: po za tem jest jednak jeszcze liczny zastęp zwolenników jego nie dość odważnych, aby występować publicznie, lecz popierających je pieniędzmi, ostrożnych, ukrytych, lub już zmęczonych i wycofujących się z publicznej areny, indywidualistów krańcowych, nie łączących się z żadnem ogniskiem anarchizmu — słowem, jednostek podzielających przekonania towarzyszy lecz z różnych powodów nieczynnych. Ogólną ich ilość oblicza Dubois w przybliżeniu na 50,000.

Rekrutują się oni z różnych sfer społecznych, przeważnie jednak między ludźmi wiodącymi życie samotne i zajętych we własnym domu.

Robotnicy wielkich fabryk skłonniejsi są do socyalizmu niż anarchizmu. Temu ostatniemu sprzyjają więcej ludzie przy warsztatach zajęci, rzemieślnicy, krawcy i szewcy przedewszystkiem, których zajęcie machinalne pozostawia dużo czasu do rozmyślań i marzeń.

Procesy anarchistyczne wielce się przyczyniają do rozwoju stronnictwa. Lugdun, który ich już zliczyć nie może, jest jednym z głównych ognisk anarchizmu. Nawet maleńkie miasteczka które były widownią rozruchów i represalii grają ważniejszą rolę w ruchu anarchistycznym — niż wielkie, przemysłowe i handlowe centra. — Bezrobocia szczególniej przyczyniają się do rozszerzania anarchistycznych idei. — Propaganda zresztą odbywa się na rozmaite sposoby.

Głównem jej narzędziem naturalnie jest prasa. Każda grupa dąży do tego, aby wydawać własny dziennik, jeśli jednak, co najczęściej się zdarza, fundusze na to nie starczą, zadawalnia się puszczaniem w świat jednodniówek lub po prostu drukowaniem plakatów.

Pisma anarchistyczne przeważnie nie mają prenumeratorów, lecz sprzedają egzemplarze pojedyńczo, niektóre z nich sprzedają dziennie około 8000 egzemplarzy.

Pierwszy dziennik anarchistyczny we Francyi pojawił się nie w Paryżu lecz w Lyonie. Pisma te zresztą nie żyją długo: ukazują się i nikną, na ich miejsce powstają nowe, które znowu po pewnym czasie kończą niedługi lecz burzliwy żywot. Wyjątek stanowi paryzka „Revolte“, założona p. Krapotkina a licząca 16ty rok istnienia. Wogóle ilość dzienników anarchistycznych w r. 1894 wynosi 52, w ten sposób podzielona podług języków i krajów:

Po francuzku wychodzą:

4	we Francyi
3	w Belgii
1	w Szwajcaryi
1	w St. Zjednoczonych.
razem 9	

Po angielsku:

w Anglii (w Londynie)	4
w Nowym Yorku	2
razem	6

Po niemiecku:

w Niemczech	3
w Londynie	1
w Ameryce	6
razem	10

Po włosku:

we Włoszech	8
w Ameryce	3
razem	11

Po hiszpańsku:

w Hiszpanii	6
w Ameryce	3
razem	9

Po hiszpańsku i po włosku w Ameryce 2.

po portugalsku	2
po holendersku	2
po czesku	3

Wykaz ten objaśnia nas, że głównego kontygensu anarchistów dostarczają narody romańskie, z tych zaś Włochy najżywszy biorą udział w ruchu.

Ilość dzienników angielskich w zestawieniu z ogromną liczbą ludzi posługujących się tym językiem i niezmiernym rozwojem prasy angielskiej jest niesłychanie małą. Natomiast zdumiewającą jest wprost ilość pism niemieckich, która prawie z ilością włoskich się równa.

Ze słowiańskich narodów jedynie czeski do rozwoju anarchizmu się przyczynia, udział jego jednak zważywszy małą ilość Czechów i małe rozprzestrzenienie czeskiego języka jest bardzo wielki.

Brak dzienników ruskich anarchistycznych tłomaczy się tem naturalnie, że w Rosyi wydawać ich nie można, a poza jej granicami przebywający Moskale, biorą udział w ruchu między-

---

W tym domu wesela wszczął się nagle zamęt tak wielki, że mogłem niepostrzeżenie wynieść się do ogródka, a ztamtąd na pole. Szedłem miedzą w górę pośród zbóż podrosłych. Zwolna nadchodził zachód słońca. Łagodny wiatr przesuwał po niebie puszyste obłoczki o brzegach fioletowych. Zboża na działkach mieszczańskich i chłopskich uginały się, jak fale i mieniły w złotem świetle. Zdawało mi się, że ciągle słyszę ten wyraz...

„*Spasibo*“ — kiwały niebieskiemi głowami bławatki, „*spasibo*“ — wołały koniki polne i cały ten rozległy widok, góry i wąwozy, drogi i chaty, łąki i lasy wołały za mną, jakbym był Piłatem, czy Kainem: „*spasibo*“, „*spasibo*“... Wśród głębokiej ciszy rozległy się dzwony cerkiewne. Najprzód mały dzwoneczek, bijący raz za razem dźwiękiem jednostajnym i przeraźliwym, a za nim po kolei cała ich zgraja uderzyła niby hymn tryumfu i potęgi. Uczułem w sercu boleść i przestrach. To już druga istota... Czyż z każdą szlachetną duszą na tej ziemi tak będzie? Wewnętrzna, głęboko schowana bojaźń mówiła mi, że tak będzie. Zdaje mi się, że *oni* to nazywają... niewolą.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

5) AUGUST STRINDBERG.

DZIEJE MAŁŻEŃSKIE.

(Tłum. **Empa**.)

(Dokończenie.)

Otrzymali więc rozwód, i w rok później ożenił się baron z kuzynką. Dziecko, które im się potem urodziło nie zakłócało ich szczęścia, przeciwnie nawet — doznawali teraz tyle nowych uczuć, tyle nowych idei! Ale przy tem wszystkiem nie zapominali o pracy, a baron namówił żonę do napisania broszury o małoletnich zbrodniarzach.

Dziełko to zostało nader ostro skrytykowane i baronowa, rozgniewana przysięgła, że nie już więcej nie napisze. Wtedy mąż zapytał jej, czy pisze dla tego tylko, aby być chwaloną, czy też jedynie przez ambicyę? Na to odrzekła mu zapytaniem, dla czego właściwie on pisze? To było powodem małej sprzeczki, która działała orzeźwiająco na barona — nareszcie usłyszał inne zdanie, a nie jak dotąd — zawsze tylko własne słowa. „Własne? Co to miało znaczyć? Przecież ona miała własne zdanie sama dla siebie i była z tego niezmiernie dumną — jej zdanie musiało też być bezwątpienia odmiennem od zdania męża, chociażby dla tego tylko, aby uniknąć omyłki.“ Na to odrzekł baron, że wolno jej mieć tyle zdań, ile tylko chce, byleby go kochała...“ „Kochać? Cóż to jest? On jest zwierzęciem, jak wszyscy mężczyźni, i fałszywym względem niej, bo nie kocha jej duszy tylko jej ciało! “

Ale on dowodził, że kocha jedno i drugie.

— Więc jednak był fałszywym — trochę troszeczkę.

— Wcale nie! Był on ofiarą własnej omyłki, gdy sądził, że kocha tylko jej duszę!

Przechadzali się na bulwarach i byli zmęczeni, chcąc więc nieco odpocząć, usiedli przed jakąś kawiarnią. Baronowa zapaliła papierosa, ale kelner ujrzawszy to przybiegł natychmiast i rzekł szorstko, że tutaj palić nie wolno. Baron żądał wyjaśnienia, na to odpowiedział ów chłopak, — że to jest jedna z wytworniejszych kawiarni, i że gospodarz nie chce, aby goście jego odstręczały „takie kobiety“.

Wstali więc, zapłacili i poszli dalej. Baron wściekał się ze złości, baronowa była blizką płaczu.

narodowym i w obcych językach, mianowicie we francuzkim idee swe światu objawiają.

Założycielem głównego paryzkiego dziennika „la Revolte“, był Moskal Kropotkin.

Izabella Moszczeńska.

Przegląd prasy słowiańskiej.

W dziennikach chorwackich coraz to częściej pojawia się kwestya pogodzenia się stronnictwa prawa ze strounictwem Strossmayera. W sprawie tej, jako interesowane, zabierają również głos pisma Słowińców, których Chorwaci uważają za odłam swego narodu.

Do tryesteńskiej „*Nasza Sloga*“ piszą ze Zagrzebia:

„Skutki naszego rozdwojenia widzi dziś każdy. Dla tego to rozdwojenia jedynie dały się nam tak boleśnie we znaki 25-letnie rządy madziarskie. Rok 1892, ów punkt kulminacyjny walki jaką dwa stronnictwa patryotyczne ze sobą wiodą, pokazał nam, jakie walka ta szkody nam przynosi. Wtedy na głos Raczkiego i Strossmayera stronnictwo t. zw. „Obzaraszów“ postanowiło nie brać udziału we wyborach, bo projektowana przez dr. Mazura zgoda nie przyszła do skutku dla ślepego uporu dr. Franja (dr. Franjo jest żydem, jak wogóle wiele żydów przyznaje się do narodowości chorwackiej). Wówczas to projektowano zgodę, opartą na żądaniu zupełnej autonomii Dalmacyi, Chorwacyi i Sławonii, dalej utrzymywania stosunków ściślejszych z resztą Słowian, a więc i Serbami. Tego programu, t. zw. „prawaszy“ nie przyjęli, bo polityka Starczewicza i dr. Franja, jako opierająca się więcej na uczuciu, aniżeli licząc się z faktami anektuje dla Chorwacyi ziemie serbskie, Bośnię, Hercegowinę, Slowińców, Istryę, Przymorze, Krainę, Karyntyą, Styryą i Międzymorze. Kraje te nie należały nigdy do królestwa, przyczem stronnictwo „prawa“ wrogo jest usposobione dla Słowian. Jego hasłem jest: „Bog i Hrvati“, bój przeciw Serbom.

„Skutkiem usunięcia się od wyborów stronnictwa prawa stracili Chorwaci na rzecz Serbów dwa krzesła, na rzecz madziaronów 27! Wybrano wówczas Starczewiczanów 9, Serbów 16 rządowców 62.

„Wybory te powinny być dla nas Chorwatów wskazówką i ostrzeżeniem, aby za dalekio w zaciekłości stronniczej się nie posuwać, nie chcąc stać się łupem madziaryzacyi...“

* * *

„*Narodni Listy*“ walczą obecnie na dwa fronty z wrogami, którzy dotąd znajdowali się w obozie młodoczeskim. Wtorkowy numer głównego organu młodoczeskiego występuje przeciw „Czasowi“, pismu, wydawanemu przez prof. Masaryka, który jest posłem młodoczeskim:

„Napaści „Czasu“ na stronnictwo wolnomyślne powtarzają się coraz częściej. Nie odpowiadamy na wszystkie, ponieważ przeciwników naszych nie trzeba nadto seryo traktować, a tem mniej organu ich przywódzcy p. Masaryka. Co „Czas“ o nas pisze, to mu dyktuje głównie nienawiść przeciw naszemu organowi i mężom, stojącym nam blisko. Jeżeli dziś reagujemy, to nie dla tego, żeby nam dokuczył do żywego, ale, aby mu odjąć możliwość takiego okłamywania publiczności i rzucania kalumnii. Rozprawimy się z nim krótko i sumarycznie według zasługi.

„„Czas““ twierdzi, że dziś zrzucamy ze siebie winę za demonstracye zeszłoroczne Omladynistów, wyrzekając się wszelkiej z tym ruchem wspólności. Otóż to nie jest prawdą; tego nie uczyniliśmy nigdy. Fałszem jest również, że zamieniliśmy się w konserwatystów i stronnictwo ultramonarchiczne, a tem samem lud czeski zaprzedali i opozycyą zdradzili. „Narodni Listy“ jak dawniej tak i teraz stoją na czele opozycyi narodowej.

Biedny ten „Czas“, posądza nas o zdradę i tchórzostwo, a sam zapomina, jak po zawarciu ugody pomiędzy Staroczechami a Niemcami wezwał rząd, aby uniemożliwił wszelką w tym względzie opozycyą. Wówczas to „Czas“ miał smutną odwagę wzywania do energicznego tłumienia ducha opozycyi narodowej, a dziś za mało radykalną i stanowczą wydaje mu się opozycya nasza!...

* * *

„*Il Pensiero Slavo*“ umieszcza na czele numeru artykuł pod nagłówkiem „Slavi, organizziamoci e lavoriamo“. (Słowianie, organizujmy się i pracujmy!)

„Pisma nam Słowianom austro-węgierskim wrogie piszą o nas tak, jaboby Słowianie byli rewolucyonistami czystej wody. Wyrazy, jak panslawizm, ortodoksya, zalew słowiański, kursujące ruble i ordery kozackie stały się nieomal przysłowiowe. Wszystko to zarzuty nie mające realnej podstawy, gdyż wrogowie sami o nas wiedzą, że my Słowianie już tradycyjnie zgodzić się pomiędzy sobą nie umiemy, że u nas najmniej warunków do jakiejś akcyi wspólnej, ogarniającej całą Słowiańszczyznę.

„Niezgoda zdaje się być naszą nierozdzielną towarzyszką. Na tym punkcie różnią się od nas wrogowie Słowiańszczyzny: Niemcy, Madziarzy i Włosi, idący przeciw nam ławą.

W Cislitavii, głównym naszym wrogiem jest „Schulverein“ ze strony Niemców, — ze strony Włochów „„Lega Nationale““ (liga narodowa). Obydwie instytucye mają na celu wydzieranie naszych dzieci słowiańskich. Nie próżnują i Madziarzy, nie przebierając w środkach madziaryzacyi, bo i oni posiadają instytucyą podobną noszącą nazwisko „Feruka“.

Patryotyczna prasa słowiańska oddaje ludom słowiańskim wielkie usługi, ale działalność jej w kierunku uświadomienia mas i przekonania ludu o niebezpieczeństwie mu grożącem nie osiągnęła jednak skutków pożądanych. Chcąc więc w kierunku tym działać na seryo, powinniśmy na wzór naszych nieprzyjaciół zorganizować się w jedno towarzystwo, pod mianem liga słowiańska. Liga ta powinna walczyć na pierwszym planie przeciw działalności związków niemieckich, madziarskich, włoskich. Myśl tę powinien poprzeć każdy organ słowiański, każdy patryota słowiański. Również na polu politycznem trzeba nam większej łączności. Od Słowian zgodnych ze sobą zależałaby i polityka wewnętrzna Austryi. *K.*

BADANIA NAUKOWE.

Słówko o filozofii pana Gabrye'skiego.

(Z. Gabrylski. Czem filozofia jest, a czem będzie Kraków 1894.)

Kto chce poznać metodę jak stworzyć bez wysiłku wielkie dzieło, niech uda się do Krakowa do pana Gabryelskiego. Recepta jego brzmi: Na możliwie grubym papierze drukuje się, zostawiając jak najwięcej wolnego miejsca i licząc zarówno karty drukowane jak nie drukowane rozprawkę pod szumnym tytułem n. p. jak powyższy. Cytaty, które umieszcza się stronami całemi, o ile możności w tekscie, powinny zajmować około jednej trzeciej dzieła samego. Przy końcu zostawia się, aby czytelnik miał czas przyjść do siebie, kilka stronnic wolnych

---

— Otóż to jest siła przesądu! Mężczyznom palić wolno, kobietom poczytuje się to za zbrodnię! I niech kto zwalczy ten przesąd! Ale baron nie życzył sobie wcale, aby żona jego była pierwszą ofiarą, którąby przesąd ten złamała, bo to honor trochę wątpliwy!

W Rosyi palą damy najwyższego towarzystwa podczas wielkich obiadów, nawet pomiędzy pojedyńczemi daniami; a zatem pojęcia zmieniają się razem z stopniami szerokości. Z tem wszystkiem były takie drobnostki pełne znaczenia dla życia, życie bowiem składa się z samych drobnostek.

— Gdyby mężczyźni i kobiety mieli te same przywary, to mogliby łatwiej z sobą przestawać, łatwiej się nawzajem poznawać i być więcej wyrozumiałymi dla siebie, niż teraz. Gdyby otrzymali to samo wychowanie, wtedy mieliby te same zapatrywania, i nigdy w życiu nie występowaliby nieprzyjaźnie względem siebie.

Tutaj zatrzymał się baron, jak gdyby był powiedział jakąś niedorzeczność, ale baronowa nie zważała na to — ona ciągle jeszcze myślała o wyrządzonej sobie krzywdzie.

— Kelner ciężko ją obraził, a lepsze towarzystwo zaczęło się od niej usuwać. To było przecież zupełnie jasnem! Widać, że wszyscy znali jej życie, ona przynajmniej dawno to już zauważyła!

— Co zauważyła?

— Otóż to, że w publicznych miejscach ludzie ją z lekceważeniem traktują, nikt bowiem nie przypuszcza, aby ona była jego żoną, ponieważ idą zawsze pod rękę i są dla siebie bardzo uprzejmi. Już od dawna dręczy ją ta myśl i dalej tak być nie może, a wszystko to jest niczem jeszcze w porównaniu do wiadomości, jakie odbiera w domu.

— Więc cóż to jest takiego, o czem on dotąd nie wie?

— Okropność! Takie listy! Takie anonimy! A barona uważają za jakiegoś zbrodniarza!

— Przecież on zbrodni żadnej nie popełnił! Wypełnił ściśle wszystkie prawne wymagania, i nie zgrzeszył cudzołóztwem. Opuścił swój kraj rodzinny, tak jak prawo tego żądało. Jego prośba o rozwiązanie małżeństwa została przyjętą w królewskim konsystorzu, a duchowieństwo dało mu potwierdzenie rozwodu na stemplowanym papierze. Wszakże gdy kraj jaki zostaje zwyciężonym, można cały naród rozwiązać od przysięgi wierności — dla czego więc towarzystwo nie chce uznać tego samego u pojedyńczego człowieka? Czyż nie było dosyć świadków przytem, jak konsystorz wystawiał świadectwo rozwodowe? Jakże mogli ci ludzie deptać nogami własne prawa? Więc towarzystwo było same z sobą w niezgodzie! Obchodzono się z nim, jak ze zbrodniarzem! Sekretarz przy poselstwie... jego dobry, stary przyjaciel, przysłał mu tylko jednę kartę wizytową, podczas kiedy on złożył u niego kartę swoją i żony. I wszędzie, wszędzie usuwano się od niego!

— O, a baronowa była wystawiona na gorsze jeszcze rzeczy. Jedna z jej przyjaciółek w Paryżu nie chciała jej wcale u siebie przyjmować, inne zaś odwracały się, gdy ją spotykały na ulicy.

Nikt nie wie, gdzie go but uciska — a teraz oboje mieli takie buty — prawdziwe hiszpańskie buty, i żyli w wojnie z całem towarzystwem, które ich się wyparło. Towarzystwo to, będące zbiorem pół idjotów, żyło w rzeczywistości, jak psy, ale okazywało sobie nawzajem wiele szacunku dopóty, dopóki nikt nie wywołał jakiego skandalu, t. j. jeżeli ktoś był o tyle uczciwym, że wypowiedział umowę, odczekał czas, przepisany prawem i otrzymał potem upragnioną wolność. I takie towarzystwo wybranych żyło we wzajemnej zjadliwej nienawiści, i wydawało wyroki podług termometru, na którym uczciwość była daleko poniżej zera!

— Wszystko więc było kłamstwem! Że się też o tem prędzej nie przekonali. Ale teraz muszą zbadać dokładnie ten piękny budynek, i zobaczyć, jak się rzecz ma z fundamentami.

Nigdy jeszcze nie zgadzali się jak dziś. Wróciwszy do dom

— a potem, aby umożliwić mu połapanie się w wyłożonych filozoficznych bezdeniach, dodaje się osobne streszczenie. Tym sposobem rozprawka, mogąca się pomieścić na 30tu stronnicach, zajmuje ich 78 i wydaje się wcale pokaźnym tomikiem.

A treść? — P. Gabryelski zestawia cały szereg definicyi filozofii podanych przez mężów starożytnych i nowych czasów, i cóż okazuje się? Oto określenia podane przez: Arystotelesa, Bakona, Kanta, Hegla, Fichtego, Spencera i wielu innych, są do tego stopnia niedostateczne, że nie można ich nawet zużyć, aby z ich zestawienia uzyskać odpowiedź na postawione sobie pytanie.“ Po rozmaitych manowcach dialektycznych, wśród których zjawiają się niespodzianie aż dwie filozofie, przybierając postać dwóch kół, nie dotykających się(!), dowiadujemy się nareszcie, co myśli o tem p. Gabryelski: „Filozofia jest to nauka ogólna, mająca na celu rozumienie nauk szczegółowych i religii, a więc zespolenie wiedzy i wiary w całość, zaspakajającą potrzeby umysłu i serca.“ Tak dzisiaj, — w przyszłości zaś? — „Zycie jest krótkie, sztuka długa, sposobność lotna, doświadczenie zwodnicze, sąd trudny“ — „przewidywanie przyszłości najtrudniejsze, tak należało by uzupełnić sentencyę Hippokratesa“ woła p. Gabryelski, i poprawiwszy tak mimochodem mędrca greckiego, stwierdza pobieżnie zapatrywanie kilku nowszych badaczy na dalszy rozwój filozofii, i dodaje: „A jednak wykazaliśmy już jak na przyszłość filozofii zapatrywali się inni, więc czas nam przystąpić do wyłożenia poglądu w tej sprawie własnego.“ Wynikiem zaś owego „wyłożenia“ jest, że za małą matematyką, astronomią, fizyką, ekonomią polityczną, językoznawstwem, biologią i psychologią, które z biegiem czasu od filozofii odpadły, pójdą jeszcze nauki, „nie mające dotąd odwagi, czy ochoty do porzucenia pytań, które się doświadczeniem rozstrzygnąć nie dały“. Aby to nastąpiło, nie potrzeba według p. G. nic więcej, jak tylko, aby etyka odrzuciła „na bok zagadnienie o dobra istocie“, estetyka odwróciła się „od dochodzeń, czem piękno jest właściwie“ — „teorya poznania“ przestała „nam wykładać, czy poznawanie jest wogóle możebne“ — a wreszcie „teorya wnioskowania“ położyła „krzyżyk na wysnuwanie wiedzy z siebie samej.“ Gdy to nastąpi, „wówczas nazwiskiem filozofii szczycić się będzie jedynie metafizyka, a filozofia, która pierwotnie była nauką ogólną, przestanie być wogóle nauką i przeobrazi się w sztukę“. (sic!)

Tak pouczywszy wszystkich filozofów od Arystotelesa aż do Windelbanda i odsłoniwszy tajemnice przyszłości, uważa p. G. jeszcze za stosowne obronić filozofią przed zarzutami, że jest 1, niepraktyczną, 2, niepotrzebną, 3, zmienną, — Gdyby p. G. zastanowił się był nad tem, że ludzie naukowi takich zarzutów filozofii nie robią, co zaś filistrzy lub dewotki sądzą, jest zupełnie obojętną, byłby zapewne ów traktat pominął. Spostrzegł by wówczas, że dociekanie tajemnic bytu, narzucające się z konieczności od lat tysięcy umysłowi ludzkiemu i faktyczne istnienie filozofii od czasu, jak człowiek naukowo myśleć zaczął — jest dostatecznem usprawiedliwiem tejże — a do wniosku tego przyszedł by tem łatwiej, że sam przyznaje, iż dzisiaj zajmują się filozofią coraz szersze koła, nawet „pomiędzy tak zwanymi specyalistami“.

Naszem zdaniem należy żałować, że p. G. nie poprzestał na przytoczonem zdaniu Arystotelesa o filozofii, według którego jest ona nauką, „zajmującą się bytem jako takim, a nie jakąś tegoż bytu dziedziną“. Jest ono bowiem nietylko znacznie charakterystyczniejszem dla istoty filozofii — ale także znacznie wcześniejszem od elaboratu p. Gabryelskiego. Wprawdzie w wiekach średnich, w czasie upadku nauk specyalistycznych w szczególności i filozofii wogóle, starano się pogodzić naukę z wiarą, ale usiłowania owe nie wydały nic prócz dziwolągów scholastycznych, które obecnie należą już do historyi.

Dzisiaj wiemy, że wiedza i wiara, to zupełnie odmienne — a nawet wykluczające się wzajem dziedziny. — Trudno również przypuścić, że poznawszy dokładnie jedną lub kilka gałęzi wiedzy, nie rozumie się ich jeszcze, ale należy udawać się po rozwiązanie zagadki do filozofa, no, n. p. do p. Gabryelskiego!

Co zaś do przyszłości filozofii, to możemy zapewnić pana G., że ponieważ jest ona, jak twierdzi Arystoteles, nauką zajmującą się bytem jako takim, pozostanie i nadal tem samem tak długo, póki nie da na zagadkę bytu odpowiedzi, zadawalniającej umysł człowieka. Jest ona oczywiście, jak wszystko na świecie zmienna — ale zmiany owe tyczą metody — nie istoty.

Twierdzenie, że filozofia zamieni się w sztukę, jest absurdem, na który odpowiadać nie warto.

Na tem kończymy uwagi nasze, aby p. G. nie posądził nas o zamiar napisania dłuższej oceny, niż dzieło same, polecając mu pod dokładniejsze rozpatrzenie cytowane w rozprawce zdanie Sniadeckiego, do którego wyjątkowe zdaje się mieć zaufanie: „Ale kiedy nam historyą myśli wykładają ci, którzy może swoich własnych nigdy nie mieli, którzy nawet albo dokładnie nie rozumieją tych głębokich pojęć, które rozszerzyły, sprostowały i odmieniły postać ludzkich wiadomości, na cóż zdać się może takowy wykład?“. *Str.*

LITERATURA I SZTUKA.

Książka St. Koźmiana o 1863 r.

(Ciąg dalszy).

Przyjęta przez autora metoda zaprowadziła go na manowce. Wszystkie usiłowania autora wmówienia w czytelnika, iż przełom w zapatrywaniach i przekonaniach Szujskiego nastąpił w końcu 1863 roku, są sprzeczne z rzeczywistością. Owym przełomem miało być potępienie powstania i jego ludzi, przychylenie się do tych zapatrywań, jakiemi się kierowało *grono krakowskie* podczas powstania i po jego upadku. Niechaj tu Szujski sam stanie w swojej obronie. W dwa lata po powstaniu, umieszczał on w „Haśle“ lwowskiem artykuły p. t. *Dumania samotna godzina*. W pierwszym z nich, zatytułowanym „Godność narodowa“, czytamy pomiędzy innemi co następuje: „Rany nasze są *uczciwe*, przyczyna ostatnia naszych ciosów wielka i *szlachetna*... Kto ma bodaj trochę poczucia narodowego, lub tylko *ludzkiego*, ten nie zaprzeczy słuszności uwag naszych. Cóż więc powiedzieć o tych, co nie mieli nic pilniejszego jak wobec widzów i poganiaczy cyrków, przyjąć na siebie rolę *szyderców, poliszynelów*, *lub niewczesnych kaznodziei stronniczych*... Przeczenie tego, co się stało, wyrzekanie *nie doprowadzi do niczego*. Powrót do normalnego stanu nie polega na *cynicznem bluźnieniu i wypieraniu się wszelkiej solidarności z narodowem wczoraj*. Nikczemnym jest wszelki polityczny fetyszyzm, który kruszy bożki wczoraj stawiane, aby dzisiejszym składać obiaty.“ (Dzieła J. Szujskiego, serya III tom 1 str. 212—214).

W drugim artykule: „Amnestya powszechna“ czytamy znowu co następuje: „Gorszem od klęsk politycznych są ich moralne następstwa. Pomiędzy niemi *swary wewnętrzne, kryminacye i rekryminacye* wzajemne, pierwsze zajmują miejsce. Nieszczęścia są rodzicami kłótni, zarówno w familii jak w narodzie. Klęska po-

---

nowa do dziecinnego pokoju — tutaj panował spokój, jakiego rzeczywiście potrzebowała, walka ta bowiem była dla niej za ciężką, i miała jej też już zupełnie dosyć.

Wszystkiego, wszystkiego miała już dosyć! Pisać o więźniach w ciepłym, wytwornie urządzonym pokoju, i podać im w należytej odległości rękę, okrytą rękawiczką — na to wszyscy chętnie przystawali, ale podać rękę kobiecie, która się połączyła z rozwiedzionym mężczyzną — tego nikt nie chciał uczynić! Czemu? Odpowiedź na to nie była łatwa!

Baron tymczasem rozpoczął bardzo czynne życie. Na zebraniach publicznych, na posiedzeniach — wszędzie słyszał dzikie wybuchy nienawiści przeciwko towarzystwu. Czytał pilnie gazety i pisma, i zajmował się wiele literaturą. Ale i drugiej jego żonie groził ten sam los, co i pierwszej: nie mogła podążyć za nim! Dziwna rzecz, że nie umiała ona wniknąć w szczegóły jego badań — przeczyła często nowym pojęciom, a jednak czuła, że mąż ma słuszność i że walczy dla dobrej sprawy. Wspólny los złączył ich i trzymał przy sobie, jak gołębie, przestraszone burzą. On wiedział zawsze, że w domu znajdzie współpracownicę, która nigdy nie była zmęczoną — albo przyjaciela, który mu jest serdecznie życzliwym. Ale prawdziwe uczucie kobiece, które teraz tak mało wzbudzało szacunku, i które jest tylko wspomnieniem matki i siły przyrody, która tkwi w każdej kobiecie, to uczucie zakwitło w duszy baronowej w całej pełni: jak ciepło wieczornego ognia obejmowało dzieci, jak promień słońca padało na męża, jak spokój i szczęście panowało w domu! Baron dziwił się, że nie czuje teraz braku towarzyszki, z którą mógłby o wszystkiem rozmawiać. A ona czuła, że myśli jego nabrały siły od czasu, gdy przestał je szybko wyrażać słowami; uprzejmem spojrzeniem, lub serdecznem uściśnieniem ręki potwierdzała jego nowe idee, i wiedziała, że czuł się silniejszym, jak dawniej, i mniej krępowanym kontrolą swych myśli: teraz był sam sobą, dawniej zaś samotnym i niezrozumianym, bo przeczono mu często, a to budziło w nim wątpliwości i zwątpienie.

I tak nadeszło w Paryżu święto Bożego Narodzenia; baronowa przestawiła meble w ich małem mieszkaniu, i sprowadziła ogromne drzewko z lasu St. Germain. — Po śniadaniu zamierzał baron kupić z żoną zabawek dla dzieci. Był on dziś poważnie usposobiony — krótko przed świętami wydrukowano jego broszurę: „Czem jest towarzystwo?“ a nie wiedział dotychczas, jakiego przyjęcia dziełko to dozna. — Oboje siedzieli w jadalnym pokoju przy stole i pili kawę — drzwi do dziecinnego pokoju były otwarte. Słyszeli jak się mamka bawiła z dziećmi, i baronowa uśmiechała się zadowolona i szczęśliwa. Szczęście jej było takie ciche i spokojne! Nagle jedno z dzieci krzyknęło, wstała, więc natychmiast, aby zobaczyć, co tam zaszło. W tej samej chwili wszedł służący z listami. Baron ujął, przedewszystkiem dwie przesyłki pod przepaską — — jedną z nich była wielka bardzo znana gazeta. Na pierwszej zaraz stronie znalazł obszerny artykuł, mający wielkiemi grubemi literami wypisany tytuł: „Wilk w owczej skórze“. Początek tego artykułu był następujący: „Boże Narodzenie stoi przed drzwiami. Jest to piękne święto, drogie każdemu, kto ma czyste serce. To święto poważne, uwielbiane przez wszystkie ludy Chrześcijaństwa, panuje nad całym światem w spokoju i miłości: nawet morderca wypuszcza dziś mimowoli nóż z ręki, a złodziej szanuje prawo własności. To święto opiera się na historycznych faktach głównie w krajach północnych i t. d. Nagle zjawia się, jak brzydki odor z kloaki, jakieś indywiduum, które nie uważa sobie za zbrodnię potargać najświętsze węzły, pływać złośliwością na wybitnych członków naszego towarzystwa, a wszystko to jedynie dla nędznej zemsty... Baron nie czytał już dalej, zwinął gazetę i wsunął ją do kieszeni. Potem wziął drugą przesyłkę — podrzędne jakieś pisemko, zawierające karykaturę jego i baronowej. I tę gazetę schował prędko, żona bowiem już wracała. Gdy wypił kawę, poszedł do sypialni, przebrał się i wyszedł z żoną na miasto.

Słońce świeciło jasno na przypruszone śnie-

niesiona należy do przeszłości, kłótnie po klęsce *zabijają przyszłość*.

„Wielkość ostatniego ruchu polegała na jego powszechności, na wspólnictwie poświęceń, cierpienia i przewiny politycznej,..

„Nie pozostało *żadnych słusznych* powodów zaskarżeń *nie było zdrajców, nie ma na kogo złożyć winy niepowodzenia* w narzuconem narodowi przedsięwzięciu...

„Na pustyni pełnej ruin i krwi pozostaje tylko jeden błędny głos, raz z piersi słabych i poczciwych, to znowu z piersi *niewczesnych mędrków* wydobywany: czemu do tego przyszło? czemu tyle sprowadzono nieszczęścia? Ten głos może stać się rozbratu i kryminacyi przyczyną, z tym głosem rozprawić się należy! Ten głos, gdyby na krótki bodaj czas otrzymał w kraju prawo obywatelstwa, zniszczyłby pracę powszechną, rozbiłby je na obozy Kainów i Ablów, zaprowadziłby ostracyzm między bracią rodzoną, wywołałby z czasem smutne następstwa, bo *domową wojnę*.

„W odpowiedzi: Czemu do tego przyszło? postawmy na czele to, o czem *cyniczni mędrcy* najczęściej zapominać się zdają, postawmy anormalny stan naszego społeczeństwa. Musi tym panom być dobrze na świecie, kiedy o nim zapominają. Postawmy system panujący, postawmy brak wolności publicznego słowa w ziemi, pożarem dotkniętej. Postawmy to wszystko jako dopust Boży, który nas kar e, ale i usprawiedliwia zarazem (str. 216).

„*Gdyby nie proskrypcya — nie byłoby dziejów krwawych r. 1863*. Przed słońcem rzeczywistości byłyby się rozwiały mrzonki ułudy konspiracyjnej, gdyby na piersiach stu tysięcy zagrożonych nie siadł *przymus walczenia* bodaj z kijami. *Nie był to więc wybuch w imię konspiracyi*. Gromadki na punktach zbornych byłyby się, nie znalazłszy obiecanej broni, rozlazły spokojnie do domu, gdyby do domu powracać mogły. Nie mogły, więc poszły do lasu. *Główna odpowiedzialność ciąży więc na tym, co wynalazł proskrypcya*. (Wielopolski) On też jest jedyną wybitną indywidualnością lat ostatnich! On zdecydował się „przeciąć wrzód“, który byłby się sam zagoił na zdrowem narodu ciele. Do zaślepień dumy, którym uległ, do tysiąca niezręczności politycznych, które popełnił, dodał czyn, w którym niewiadomo, co podziwiać, *szaleństwo czy namiętność bez granic*, czyn jakiego w dziejach naszych nie było (str. 217).

„Zrównani zostaliśmy cudownie na strasznem Prokrusta łożu! *Nie mamy prawa do kryminacyi i rekryminacyi*. Zostaliśmy gołą tabliczką. Wzajemne rachunki się spłaciły. *Z wyłączeniem jednego człowieka, możemy sobie dać ogólną amnestyą*, a ta amnestya powinna być gruntem pod zasiew przyszłości“ (str. 218).

W tymże samym czasie Paweł Popiel wydał głośny *List do księcia Józefa Lubomirskiego*. Odpowiedział na niego Szujski w tymże samym dzienniku „Hasło“. I z tej odpowiedzi nie zaszkodzi parę cytat przytoczyć.

Szujski z całą otwartością zalicza się do obozu, który Popiel nazwał „zrewolucyonizowanem stanem średnim“. Namiętnie z zapałem, odtrąca program Popiela, aby Galicya wyparła się ludzi, którzy jakikolwiek udział w ostatniem powstaniu wzięli, aby publicznie potępiła powstanie, a organizacyją swoją podjęła na podstawie porozumienia się z rzędem tych, którzy powstanie *obecnie* głośno potępiają. „Nie możemy, pisze Szujski, jak głęboką naszą wyrazić boleść nad takim *antispołecznym*, pełnym zjadliwego ostracyzmu, tak zamachowym programem... który publicznie posądza kraj o to dzisiaj jeszcze, o co go już *żaden komisarz policyi* z ręką na sercu posądzić nie może.“ Z ironią wyraża się Szujski o „rozsądnie zaszanowanej“ klasie wyższej i tak się do niej odzywa: „Jeżeli chcecie być pożytecznymi krajowi.... jeżeli chcecie być mężami stanu, a nie przedstawicielami kasty, ludźmi praktycznymi, a nie utopistami, prowadzicielami, a nie gwałcicielami społeczeństwa, ludźmi owoców, a nie niebezpiecznej pychy, duchami postępu, a nie upiorami reakcyi — nie słuchajcie takich *fałszywych proroków* jakim jest Paweł Popiel!... *Nie byłoby powstania, gdyby go nowy Targowiczanin* (Wielopolski) *nie był wywołał*.. nie byłoby się przygotowało, gdyby ci co dziś najmocniej *krzycza*, nie byli wówczas w *mysiej* siedzieli *jamie*, albo zamiast wyrozumiewać fatalne położenie ogółu, nie *drażnili* go, gdyby nie byli *plwali* na nie, zamiast się z nim porozumieć“. Zwracając się do tych, co brali udział w powstaniu, pisze Szujski: „mamyż sądzić ich srożej od sądów wojskowych, mamyż na nich zwalać winę, która na wszystkich jednakowo ciąży, mamyż publicznemi czynami objawić im, że ich rany, ich włosy posiwiałe, ich cierpienia nie mają wartości, ale są grzechem przeciw naszemu społeczeństwu“ (tamże, str. 235 238).

Tak pisał Szujski w końcu 1865 r. ten Szujski, któremu już w końcu r. 1863 każe p. Koźmian mieć „poczucie“ przyszłego stańczykostwa. Jak się w jego szeregi dostał, opowiemy wówczas, kiedy p. Koźmian natrąci coś o tem w drugiej części swej pracy. Jeszcze jednak wówczas, w pierwszych swych krokach na drodze „ubielenia się“, cofał się Szujski przed myślą walki stronniczej. „Nie ma czasu — woła w „Kilku prawdach“, umieszczanych w *Przeglądzie polskim* — na walkę stronnictw. Pracuj nie, krytykuj!) (tamże str. 288). Ze w parę miesięcy później zaprzeczył tym swoim zapatrywaniom, że sam z *gronem krakowskiem* rzucił się w wir walki stronniczej, że potępił to wszystko czego przed chwilą bronił, że podniósł „kłótnie zabijające przyszłość, że za pomocą „ostracyzmu“ prowadził „domową“ wojnę“, że zaszedł aż do uwielbienia „Targowiczanina“, że pochwalał jego „szaleństwo“, że uległ prądowi kryminacyi i rekryminacyi“, które tak potępiał, że usłuchał „fałszywych proroków“ i złączył się z tymi co „siedzieli w mysiej jamie“ — to rzecz jego sumienia, do nas ta sprawa w tej chwili nie należy.

Jeszcze jedno. Prawdą jest, na co p. Koźmian kładzie nacisk, iż Szujski nie należał do spisku, ani do żadnej organizacyi, ale nie dla tych powodów, jakie pomiędzy wierszami książki p. Koźmiana wyczytać się dają. Nie potrzeba ich szukać daleko, kiedy nie można domysłów niczem poprzeć, a rzecz przedstawia się jasno. Nie każdy mógł należeć do organizacyi, bo gdyby wszyscy należeli, kogóżby wówczas organizowano? Nie należeli też do organizacyi ani Bałucki, ani Bełcikowski, ani inni ówcześni przyjaciele i koledzy po piórze Szujskiego, choć poglądy ich niczem się wówczas nie różniły od poglądów Szujskiego i owych skrajnych ludzi, z którymi żył on „w stosunkach zażyłych i serdecznych“. Nie należeli, bo należeli inni, bo nie przyszła na nich kolej. Zresztą poeci nie stanowili nigdy dobrego materyału na konspiratorów i wykonawców. Szujski był przytem niedawno ożeniony, tworzył rodzinę, miał więc obowiązki, które, jeżeli nie całkiem zwalniają od osobistego narażania się, to zawsze bądź co bądź usprawiedliwiają trzymanie się zdala od niebezpieczeństw. Jest wogóle dużo ludzi, co pomimo sympatyi i zapału dla pewnych spraw, nie biorą w nich czynnego udziału, bo albo nie czują się do tego zdolnymi, albo ich do tego nikt nie powołał, albo wreszcie wstrzymują ich od współdziałania pewne okoliczności. Co do Szujskiego mamy nawet pewne dane, że usposobienie jego nie nadawało się do tego rodzaju czynności, i przed powstaniem, w czasach słów i manifestacyi, w czasie rozbudzonego ruchu między młodzieżą, Szujski ograniczał się tylko na sympatyach, trzymając się w rezerwie, zdala od wszelkiego czynnnego współdziałania.

Po tem zboczeniu, w czem poszliśmy za przykładem p. Koźmiana, powracamy do dalszego streszczenia jego *Rzeczy*.

K. Bartoszewicz.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

---

giem plątany na polach Elizejskich, a plac de la Concorde otwierał się, jak wielka oaza, pełna blasku słońca, wśród kamienistej pustyni. Baron podał żonie ramię, ale czuł, że właściwie ona go podpiera. Baronowa zaś myślała i mówiła teraz tylko o tem, co najlepiej kupić dzieciom, a on odpowiadał, nie wiedząc nawet, co mówi.

Ale w końcu zapytał nagle:

— A propos, umiałabyś mi powiedzieć, jaka jest różnica pomiędzy zemstą a karą?

— Nie, nie myślałam jeszcze nigdy o tem.

— Więc pewnie taka: jeżeli się nieznajomy dziennikarz mści, to się nazywa ukaraniem kogoś, a jeżeli ktoś nie będąc dziennikarzem, i nie ukrywając się pod anonimem, karze, to się nazywa zemstą. Każmy się zapisać na listę nowych proroków.

Baronowa prosiła go, aby sobie nie psuł świąt takiemi dziwnemi myślami o gazetach.

— To święto, — powtórzył po cichu, — które panuje nad całym światem w spokoju i miłości i t. d.

Przechadzali, się dosyć długo pod arkadami ulicy Rivoli, potem zwrócili się na bulwary, i kupowali zabawki. W Grand Hotel jedli śniadanie. Baronowa była w wyśmienitym humorze, i starała się o ile możności rozweselić męża, który ciągle był zamyślony i nic prawie nie mówił. Nakoniec zapytał znowu żony:

— Czy można mieć nieczyste sumienie, jeżeli się ma słuszność?

Baronowa milczała.

— Więc jesteśmy tak wychowani, że czujemy wyrzuty sumienia, jeżeli występujemy przeciwko towarzystwu. Być może! Czemu ty nie masz prawa oburzania się na niesprawiedliwość, jaką ci wyrządzono? Dla tego, że towarzystwo nie życzy sobie, aby ktoś przeciwko niemu występował. Czemu ja nie uczyniłem tego, dopóki jeszcze do niego należałem? Otóż dla tego, że dawniej nie znałem ludzi tak dokładnie, jak ich znam dzisiaj. Każdy obraz powinien być oglądany z pewnej odległości!

— Nie mów o tem dziś....

— To prawda! Wszakże to święto Bożego Narodzenia — na całym świecie panuje spokój i miłość...

Po śniadaniu pojechali do domu. Wieczorem zajaśniało drzewko, i spokój i szczęście zdawały się z niego spływać. Ale ciemne gałązki roztaczały jakąś woń dziwną — pogrzebową. Twarz barona była ponura, gorzki uśmiech wykrzywiał mu usta, gdy jednak przyszła mamka z maleńką dziecina, rozjaśnił się na chwilę. Przyszło mu na myśl, że skoro dzieci jego dorosną, to będą zbierały radość i szczęście tam, gdzie on dziś łzy wylewa: one będą miały wyrzuty sumienia wtenczas, gdy zgrzeszą przeciwko prawom natury. Dzisiaj są ludzie dręczeni własnemi kaprysami, — mają wiedzę i naukę, ale nabyli je ponuro, za pomocą batów, a księża straszą ich czczą gadaniną — wszystko to urządza towarzystwo, i wyzyskuje tylko na swoją korzyść.

Potem zawołała baronowa kucharkę i służącego, zagrała stare poważne, narodowe pieśni, które Szwedzi tak bardzo lubią, i w końcu rozdała dzieciom i służbie podarki gwiazdkowe.

Po skończonej uroczystości poszła do salonu, i usiadła na fotelu. Mąż przysunął sobie nizki stoleczek do jej nóg i położył głowę na jej kolana. Ach, jak mu dziś było smutno, Baronowa położyła mu rękę na rozpalonem jego czole — i siedzieli tak oboje, nie mówiąc ani słowa. Nagle młoda kobieta zadrżała.

— Cóż to? Ty płaczesz? — szepnęła przerażona.

— Tak, płaczę!

Baronowa nigdy jeszcze nie widziała płaczącego mężczyzny. To okropne!

— Cóż się stało?

Baron drżał, jak we febrze, ale milczał.

— Dla czegóż płaczesz?

— Bo jestem bardzo nieszczęśliwy!

— Nieszczęśliwy? Zemną?

— Nie, o nie, ale...

— Czy ci kto dokuczył tak bardzo?

Listy Wojciecha Cybulskiego
do
Wacława Hanki.
(1840—1847.)

Ogłosił

Edward Jelinek.

VIII.

Wielmożny Panie Bibliotekarzu.

Dla oddawcy niniejszego liściku Pana Droysen,*) profesora dawniej w Berlinie, a teraz w Kiel, autora historyi Alexandra W,, a mego germańskiego przyjaciela, proszę o łaskawe słowiańskie przyjęcie i o ukazanie mu skarbów Muzeum. Wszak u pradziadów naszych wojną ścigano tych, co nie przyjęli gościnnie cudzoziemca. Pan na siebie takiej wojny nie ściągniesz, bo w względzie uprzejmości słowiańskiej wszystkich pradziadów przechodzisz. Racz więc i w tym razie nie robić wyjątku, a zobowiążesz Pan sobie nowym uczynkiem wysoko poważającego, a po bratersku pozdrawiającego Pana

przyjaciela i sługę

Cybulskiego.

Berlin, dnia 15 kwietnia 1844.

*) Droysen Jan Gustaw, ur. 1808 w Treptowie na Pomorzu. Jego „Geschichte Alexander des Grossen“ wyszła 1833 r.

IX.

Łaskawy Panie Bibliotekarzu!

Oto po długiem milczeniu kilka wyrazów od kochającego i wielbiącego Go przyjaciela! który przypomina się dawniejszym względom i pamięci.

Oddawca listu jest Francuz z Szwajcaryi, pan *Trayon*, uczony badacz starożytności narodów europejskich, osobliwie tyczących się grobów, mogił i wszystkiego tego, co się do nich odnosi, Podróżował już po większej części Europy naocznie się zabytkom podobnym przypatrując, tym najwięcej, które czasów pogańskich sięgają. Chciałby coś podobnego i w Czechach zobaczyć. Któż w tym względzie lepszą i pewniejszą może mu dać skazówkę, jak pan Dobrodziej, co znasz na wskroś swoją Ojczyznę i z grobu jej Rękopism królodworski wydobyłeś! Zapewne i w Muzeum znajdą się rzeczy, które cudzoziemca interesować będą. Niech się dowie, że słowiaństwo nasze nie było w przedchrześcijańskich czasach ciemniejsze od jego celtyckiego pokolenia, ani też ciemniejsze od pierwszych wieków samego chrześciaństwa. Polecam tedy pana Trayon łaskawej grzeczności pańskiej, a mnie tej samej, jakiej dawniej doznałem przyjaźni — zostając zawsze z prawdziwem przywiązaniem i wysokiem poważaniem

Wielmożnego Pana wiernym

przyjacielem i sługą

Cybulski.

Dnia 9go maja 1845.

Pozdrawiam serdecznie przyjaciół i znajomych.

B. S. Jeśli pan Dobr. zobaczy się z panem Koubkiem, niech mu raczy oświadczyć, że żadnego listu od niego przez nikogo nie odebrałem i że dotąd nie wiem, czego w nim żądał. Ustnie tylko dowiedziałem się, że podobno do mnie pisał. Aleć bym był odpisał — gdybym list jaki odebrał. Pozdrawiam go.*)

X.

Przypominając się łaskawej pamięci i względom szanownego pana Bibliotekarza, polecam mu uprzejmie oddawcę niniejszego liściku tutejszego literata Franca, który chociaż niemieckiego pochodzenia zajmuje się przecież szczerze słowiańskiemi rzeczami i w celu bliższego przypatrzenia się przedsięwziął podróż do Pragi i Wiednia. Racz go pan Dobr. zapoznać z którym z młodych ludzi, aby ten zwrócił uwagę jego na ciekawsze rzeczy i osobliwości. Oczekuję z niecierpliwością programu 500 letniego obchodu założenia uniwersytetu prazkiego — w czasie tym koniecznie być muszę w Pradze i dla tego roku tego nie mam zamiaru wyjechać, chociaż tego bardzo jestem spragniony.

Najszczersze ukłony przyjaciołom!

Zyczliwy przyjaciel i sługa

Cybulski.

Dnia 31 lipca 1847.

*) Koubek Jan Pravoslav, ur. 1805 w Czechach † 1854, przebywał jako nauczyciel prywatny w Galicyi od 1831 do 1837, stał się 1839 r. profesorem języka i literatury czeskiej na uniwersytecie pragskim. Dzieła jego zebrane, poezya i proza, wyszły w Pradze r. 1858—1859.

NB. Korespondencya Wacława Hanki po r. 1848 przepadła bez śladu.

Szkoła i wychowanie.

Klasycyzm i realizm w Prusiech w walce o szkołę.

Napisał

Romuald Łazęga.

(Ciąg dalszy.)

Z innej strony chwyta przedmiot sporny Neudecker w swojem „Die eigentliche Hauptfrage im gegenwärtigen Mittelschulstreit“ (Wuerzburg 1883). Podług niego główną wadą gimnazyum klasycznego jest, iż zamiast służyć ogólnemu rozwojowi władz umysłowych u młodzieży, jest ono zbyt jednostronnie szkołą przygotowawczą do fachowego wykształcenia filozoficznego. Jego ideał wychowawczy jest zbyt jednostronnie estetyczny, boć główmem jego zadaniem jest wprowadzenie młodzieńca w zrozumienie postaci grecko-rzymskiej mitologii i tradycyi, wżycie się w bogactwo form, w których podług zapatrywania starożytnych skraplała się wartość życia, odczucie duchem tych charakterystycznych uczuć i dążności, które stanowiły treść ich życia. Nikt wprawdzie przeczyć nie może, iż budzenie estetycznego poczucia należy także do zadań szkoły, wykształcenie ogólne mającej na celu. Ale wykształcenie estetyczne nie ma tej wartości, iżby mu w rzędzie tych zadań przyznać można naczelne miejsce, iżby mu poświęcić należało najwięcej czasu i trudu, zwłaszcza, gdy się to dzieje kosztem nauk nieodzowych. Do tych nieodzownych gałęzi wiedzy należy przedewszystkiem matematyka. Filologowie, jakkolwiek wartości jej nie przeczą, znaczenie zdolności matematycznego myślenia i wpływ jej na rozwój umysłowy człowieka cenią zbyt nisko. Skutkiem zaś tego upośledzenia, jakiego po gimnazyach doznaje wiedza matematyczna, jest przytępienie zmysłu do rzeczywistości u naszej wyżej wykształconej młodzieży. Albowiem jednostronny filologizm zabija w młodzieży „respekt przed faktami“ i przez to osłabia w nich zdolności rozpoznawania istoty rzeczy, a po części nawet zamiłowanie prawdy. Jednostronna językowa tresura, wieczne wprowadzanie młodzieży w świat klasycznych ideałów, doprowadziło gimnazyum do zapomnienia, iż wychodziło ono z zupełnie jednostronnego i fałszywego pojęcia formalnego wykształcenia. To koniecznie zmienić się powinno i zamiast bronić rzekomo zagrożonej wartości studyów klasycznych przeciwko naukom przyrodniczym gimnazyum uczyniłoby lepiej, gdyby postarało się o urządzenie, odpowiedniejsze nowoczesnemu pojęciu wiedzy i wykształcenia.

Co jednakże najciekawsza, to ta okoliczność, iż w tych właśnie czasach po reformie ministra Gosslera pomiędzy filozofami z zawodu, wszczyna się dezercya z pod znaków klasycyzmu. Tego rodzaju dezerterów jest dwóch w tym peryodzie t. j. profesor liceum reutlingskiego baron Artur v. Soden i autor, kryjący się pod przybranem nazwiskiem Alethagorasa. Pierwszy w swej broszurze "Die Einfluesse des Gymnasiums auf die Jugendbildung“ (Tuebingen 1884) rozwinąwszy mniej więcej te same myśli, jakie widzieliśmy u Doerfelda, porównuje obecne gimnazya klasyczne z ich czysto formalistycznem traktowaniem języka bez względu na treść jako środka formalnego wykształcenia ze szkołami sofistów w Atenach, którzy także postawili sobie za zadanie doprowadzenia swych uczni do tego, aby o wszelkich przedmiotach i wszelkich kwestyach życia umieli gładko i potoczyście się wysłowić. „Jakie więc owoce przynosi jednostronne wykształcenie formalne, stanowiące główne zadanie naszych gimnazyów?“ zapytuje następnie autor. „Wydaje ono ludzi, którzy, nie tro-

---

— O, tak, wyrządzono mi okropną krzywdę!

— Nie możesz mi tego powiedzieć?

— Nie! Ja tylko chcę siedzieć tu przy tobie, tak, jak siedziałem przy mojej matce przed wielu, wielu laty!

Baronowa pieściła męża, jak gdyby był dzieckiem, całowała jego oczy; ocierała łzy swoją chusteczką, i czuła się w tej chwili tak dumną, tak cudownie silną! Ale i baron odzyskał wkrótce zwykły spokój i równowagę umysłu, a pod wpływem pocieszających słów żony, nabrał nowej odwagi i wiary w przyszłość. — Jak mogłem być tak słabym, — mówił sobie w duszy, zawstydzony, a głośno dodał;

— Nie uwierzysz jaką przykrość sprawia człowiekowi opozycya. Moi nieprzyjaciele sami pewnie nie wierzą w to, co mówią, trudno to pojąć, ale tak jest z pewnością. Wszakże i kamienie wrastają w ziemię, to czemużby zdania i przekonania nie miały wrosnąć w mózg człowieka?

I mówił dalej o ludziach, złośliwie, lekceważąco — mówił, że mu ostatecznie zupełnie jest obojętnem, co inni o nim sądzą, byleby tylko ona, jego ukochana żona, wierzyła, że dąży tylko do celu wzniosłego i szlachetnego!

— O tak — uspokajała go żona, ona w to wierzy! Ale on nie powinien się tak unosić gniewem! Może też tęskni za swojem dzieckiem, za dzieckiem pierwszej żony? — Naturalnie, ale na to nie ma rady! Jeszcze nie! Ale on i wszyscy ci, którzy pracują nad ratunkiem przyszłości, powinni wymyślić jakiś środek, aby zaradzić temu. On nie zrobił jeszcze żadnej propozycyi w tym względzie, ale dzielniejsze głowy, niż jego głowa, powinnyby raz już rozwiązać tę kwestyą, która do dziś dnia jeszcze rozwiązaną nie jest! Tak, muszę to koniecznie uczynić. — Co zaś do ich małżeństwa — czy było ono teraz prawdziwem małżeństwem, pomimo, że on nie chciał powierzyć jej swoich zmartwień i kłopotów? Czy nie jest ono także prostytucyą? Nie! Ono jest prawdziwem i doskonałem, bo oboje kochają się wzajemnie — czego w pierwszem małżeństwie barona nie było. Teraz nie mogli zaprzeczyć swej miłości, więc też było to małżeństwo prawdziwe w obec Boga i w obec natury.

szcząc się o treść rzeczy, tylko zewnętrzną jej formą się zajmują, którzy przeto niekiedy we względzie formalności, we względzie artystycznego i estetycznego smaku mogą dokazać czegoś wielkiego, ludzi, którzy we względzie moralnym zachowają zawsze niejakąś przyzwoitość, ludzi, którzy potrafią naokół siebie roztoczyć jakiś blask i zdołają o wszystkiem dobrze mówić, choćby nic nie rozumieli, ludzi, którzy nigdy się nie zaambarasują, mając o czemś wypowiedzieć swe zdanie. Czy jednakże klasycyzm wydaje ludzi, przejętych zapałem, mężów ważnych i energicznych, którzy, porwani jakąś ideą, umieliby za nią cierpieć i walczyć, mężów którzy nie dają się olśnić pozorami i nie łączą się z tymi, którzy pięknie mówić umieją, ale z tymi, którzy lepszą zastępują sprawę? Jest to przekleństwem tego rodzaju formalnego wykształcenia, iż nadaje frazesowi taką przewagę za dni naszych, iż społeczeństwo przychodzi w niebezpieczeństwo zatraty, pomimo świetnego pokostu jaki pokrywa wewnętrzną jego nicość.“

O wiele radykalniejszym niż v. Soden jest w swych sądach i wyrażeniach Alethagoras. Pierwotnie zagorzały filolog, jak sam powiada we wstępie do swojej broszury „Unser Gymnasialwesen“ (Braunschweig 1889), nawrócony został do obozu przeciwników czytaniem broszury Schmedinga „Zur formalen Bildung“. Podług jego zdania klasycyzm nie przynosi przypisywanego mu pożytku ni pod względem literackiego ni pod względem moralnego wychowania. Klasyków rzymskich wartość literacka jest tak nieznaczna, iż w ogólności nie zasługują na to, aby ich czytywać po szkołach. Klasycy greccy pod względem wartości o całe niebo stoją wyżej od klasyków rzymskich, lecz dostatecznemu ich zrozumieniu przez uczniów stają trudności językowe na przeszkodzie. Języki starożytne też w planie gimnazyalnym zbyt wiele zajmują miejsca, a przez to inne, ważniejsze przedmioty ponoszą uszczerbek. Do rzędu tych przedmiotów należą przedewszystkiem nauki przyrodnicze, historya i niemieckie. Do niecenia idealizmu w sercach młodzieży studya klasyczne także mało się przyczyniają. Albowiem do wyrobienia idealizmu, mogącego znaleźć zastosowanie w życiu, potrzebna jest przedewszystkiem jasność w pojmowaniu celów i zadań życia, a tej jasności klasycyzm w głowach młodzieży nie budzi. Owszem, oddziaływa on pod wielu względami niekorzystnie na młodzież, bo odsuwa po gimnazyach chrześciański pierwiastek naszej cywilizacyi na plan drugi, wiedzie do pessymizmu i wywołuje rozdział nieprzebyty pomiędzy życiem umysłowem inteligencyi i klas ludowych. Zamiast więc ludzi o rzeczywiście idealnych dążnościach wychowuje on co najwięcej niejasnych marzycieli, którzy w życiu praktycznem rady sobie dać nie umieją.

Obok tej walki literackiej wrzała w tym peryodzie agitacya praktyczna przeciw gimnazyom klasycznym. Na czele tej agitacyi stanął związek nauczycieli szkół realnych (Realschulmaennerverein), na którego czele stali dyrektor szkoły realnej w Duisburgu, Steinbart, nauczyciel tejże szkoły prof. Schmeding i dyrektor głównej szkoły realnej (Oberrealschule) w Brunświku, Krumme. Wkrótce jednakże wyłoniły się w nim dwa kierunki: jedni pozostali wierni pierwotnemu programowi i zmierzali do uzyskania dla szkół realnych równouprawnienia z gimnazyami klasycznemi, drudzy w miejsce istniejących obok siebie gimnazyów klasycznych i szkół realnych pragnęli postawić szkołę jednolitą (Einheitsschule), która w wyższych dopiero oddziałach rozczepiać się miała w szkołę o przeważnie humanistycznym i w szkołę o przeważnie realistycznym kierunku. Ostatni odłam przeciwników gimnazyum klasycznego rozpadł się niezadługo w kilka pododdziałów, ale wszystkie te oddziały i pododdziały jednolitego pierwotnie związku nauczycieli szkół realnych zjednoczyły się w usiłowaniach około wciągnięcia jak najszerszych kół społeczeństwa niemieckiego w zakres agitacyi przeciwko gimnazyom klasycznym. Owocem tych usiłowań była petycya do pruskiego ministerstwa oświecenia, pokryta przeszło 22,000 podpisów, a domagająca się zmian radykalnych w ustroju wyższego szkólnictwa w Prusiech.

(Dokończenie nastąpi.)

ŻYCIE SPOŁECZNE.

KRONIKA KRAKOWSKA.

Pomnik Mickiewicza. Termin jego odsłonięcia. Fundacya Osławskiego. Szkoła czernichowska. Rozmaitości.

Nareszcie danem było małej garstce zwykłych śmiertelników ujrzeć figurę Mickiewicza, wznoszącą się na jego pomniku, a to dzięki prezesowi komitetu pomnika ks. Sanguszce, który przejeżdżając przez Kraków chciał ją zobaczyć. Kto więc przechodził przypadkowo przez rynek w chwili odsłonięcia figury, mógł się zachwycać lub rozczarowywać dziełem p. Rygiera. Pierwszych jednak, to jest zachwycających się, musiało być nie wielu, ponieważ mi nie zdarzyło mi się żadnego dotychczas spotkać. Słyszałem tylko zdania samych niezadowolonych, które w zupełności podzielam. Zapewne, że po bliższem zapoznaniu się z dziełem p. Rygiera, znajdziemy w figurze strony dodatnie, bo artysta tej miary co p. Rygier nie może stworzyć rzeczy, w którejby nie było śladu talentu. Sama twarz n. p. Mickiewicza jest wybornie modelowaną i wykonaną. Ale pierwsze ogólne wrażenie jest do najwyższego stopnia ujemne. Artysta wpadł na pomysł włożenia na głowę Mickiewicza wieńca laurowego z ogromnemi liśćmi sterczącemi do góry. Jestto wprost brzydkie i z poety czyni jakiegoś kacyka, dowódzcę indjan, przeniesionego żywcem z książki obrazkowej dla dzieci. Oprócz tego szczególu razi korpus Mickiewicza olbrzymich rozmiarów. Zmienić głowę, dodać mu szlify i szablę, a będzie to Chłopicki, zamienić surdut na kontusz, a będzie to książę „Panie kochanku“ lub Sobieski, — słowem człowiek potężnych kształtów i niepomiernej tuszy. Nie miałem szczęścia i zaszczytu widzieć atlety Pytlasińskiego, ale sądzę, że figura z pomnika prędzej jego kształty nie Mickiewicza przypomina. Tylko, że Pytlasiński, choć zapewne posiada tak szerokie barki i muskularne olbrzymie ręce, nie doszedł jeszcze do takiego „żywota“, który się nabywa zazwyczaj ze zbyt sutej strawy lub rozdęcia. Proszę nie sądzić, że chcę przesadzać, żartować. Takie wrażenie rzeczywiście odniosłem i przekonałem się, że jest ono wspólne prawie wszystkim, co jak ja przypadkowo figurę p. Rygiera zobaczyli.

O termin odsłonięcia pomnika toczy się polemika między czytelnikami *„N. Reformy“*, która w tym celu otworzyła dla nich swe szpalty. Jedni chcą go widzieć odsłoniętym już w listopadzie, drudzy pragną zaczekać do wiosny lub lata. Nie dziwię się chęci pospiechu u pierwszych, bo kto czekał na pomnik lat 20 pragnąłby go nareszcie zobaczyć, ale sądzę, że słuszność mają ci drudzy, którzy mówią: czekaliśmy lat 20cia, to i pół roku jeszcze poczekać możemy. I rzeczywiście po tylu zachodach, przejściach, kłopotach, intrygach, odkładaniach, konkursach, polemikach, kiedy nareszcie zdobyliśmy się na postawienie pomnika, kiedy widzimy jasno z jego historyi, że długo czekać będziemy musieli, zanim kiedykolwiek podejmiemy podobne przedsięwzięcie, odsłaniać pomnik tak po familijnemu, w małem kółku wśród zimna i prawdopodobnej słoty lub błota — jakoś nie wypada. W listopadzie nikt nie przyjedzie do Krakowa, a przecież nie sam Kraków składki zbierał i pomnikiem się interesował. Owszem, choć inicyatywa wyszła od młodzieży krakowskiej, Kraków najmniej na pomnik finansowo się zrujnował. Broń Boże, aby nie szło o jakąć tak zwaną terminem miejscowym „szopkę;“ pragnąłbym, aby uroczystość odsłonięcia pomnika odbyła się poważnie w ściśle zamkniętych granicach, bez nadmiaru frazesów i ogni sztucznych, ale niechże będzie uroczystością ogólniejszą, a nie zaściankową, krakowską. Kocham p. Friedleina, kocham i radców miasta Krakowa, ale wolałbym na uroczystości oprócz nich widzieć i obce twarze, choćby o rysach mniej szlachetnych i wybitnych. Cała Polska składała się na pomnik, rzecz to nie miejska, lecz narodowa, więc też ta cecha powinna być zachowana w chwili, kiedy z pomnika spadnie osłona.

Donosiłem już o chwianiu się zapisu ś. p. Wiktora Osławskiego, zapisu tyczącego się utworzenia fundacyi naukowej przy uniwersytecie Jagiellońskim, z której odsetki miały iść na uzupełnienie gabinetów przyrodniczych i na zasiłki dla wykładających bezpłatnie docentów. Donosiłem mianowicie, iż dalsza rodzina Osławskiego sprzeciwia się uznaniu testamentu, gdyż lubo suma 550,000 złr. na fundacyą naukową jest wymieniona w testamencie, to kodycyl określający zadanie i organizacyą fundacyi nie został przez testatora podpisany. Sprawa ta do tej chwili nie jest rozstrzygniętą, ale obie strony tj. krewni testatora i egzekutor testamentu wyrazili publicznie swoje na nię zapatrywania. Możemy zatem wiedzieć na czem się opierają i jak wielką jest nadzieja, aby grosz przeznaczony na cele publiczne nie dostał się w ręce prywatne. „Jeden ze spadkobierców“, w liście otwartym ogłoszonym w dziennikach, tak się mniej więcej na zapis zapatruje. Z ironią „dla przestrogi obałamuconych kandydatów na stypendya“ i dla informacyi mylnie objaśnionej publiczności obiecuje powiedzieć „prawdę“. Przyznaje, iż oprócz legatów jest zapis następujący: zapisuję sumą 550,000 florenów na fundacyą edukacyjną mego imienia, której akt dołączam“. Ponieważ jednak kodycyl „znajduje się wprawdzie w aktach“, ale nie jest podpisany, przeto sukcesorowie opierają się na paragrafie 552 ustawy cywilnej: „wszelkie rozporządzenie, zdziałane z powołaniem się na kartkę lub pismo, wtedy tylko może mieć skutek, gdy to pismo posiada wszystkie cechy do ważności rozporządzenia ostatniej woli wymagane“. Ś. p. Osławski twierdzi jeden z sukcesorów“, był człowiekiem wykształconym znał przepisy prawne, miał biegłych doradzców, jeżeli zatem kodycylu nie podpisał, to znaczy, że wahał między zapisem dla ogólnego użytku, a pozostawieniem spuścizny rodzinie; ta ostatnia wola widocznie przemogła: z woli jego zatem, a nie z przyczyny szykan sukcesorów zapis nigdy funkcyonować nie będzie“. My nie robimy żadnego procesu, pisze dalej jeden z sukcesorów, tylko zapis jest nie ważny i trudno żądać, a nawet przypuścić, żeby „ludzie siebie i prawo szanujący“ zechcieli na drodze sądowej uzyskać orzeczenie wprost prawu przeciwne. Na czem się sprawa skończy, trudno przewidzieć, ale tłomaczenie „jednego z sukcesorów może być zgodne z prawem, a mijać się z prawdą. Osławski nie miał żadnych bliższych krewnych, a donosząc po raz pierwszy o sporze zapisowym już zauważyłem, na podstawie znanych mi faktów, że z rodziną dalszą nie utrzymywał on żadnych stosunków i że wogóle był dla niej całkiem obojętny. Wciąż myślał o zapisaniu majątku na cele publiczne; już za życia cenne swe zbiory ofiarował Muzeum Narodowemu w Sukiennicach. Osobiście się zgłaszał do b. ministra Zaleskiego w sprawie swojej fundacyi; na jego życzenie prof. dr. Zoll udawał się w tej sprawie do Paryża i w testamencie też swoim uczynił O. legat dla prof. Zolla jako wynagrodzenie za trudy około ułożenia fundacyi podjęte i około jej wprowadzenia w życie podjąć się mające. O „wahaniu się“ jego zatem nie może być mowy; najwidoczniej sporządziwszy i podpisawszy testament, nie wiedział, iż kodycyl własnoręcznie, przez niego napisany i do testamentu włożony powinien być opatrzony podpisem. Czy jednak tłomaczenie „jednego z sukcesorów“ jest nawet zgodne z prawem, — to rozstrzygnie dopiero proces, bo lubo jeden z sukcesorów nie przypuszcza nawet, żeby „ludzie siebie i prawo szanujący“ chcieli uzyskać prawność testamen-

tu w punkie spornym, to prokuratorya skarbu jako prawny zastępca wszelkich fundacyi musi wnieść skargę przeciw sukcesorom, nieuznającym testamentu w tym jego szczególe.

Prof. dr. Zoll w odpowiedzi na uwagi jednego z sukcesorów“ zaznacza naprzód, że ustęp tyczący się zapisu fundacyjnego wyprzedza w kodycylu wszystkie inne legaty. Paragraf 582 jest przytoczony przez jednego z sukcesorów tylko w połowie, druga jego część mówi „o znaczeniu, jakie ma być przywiązane do pisma testatora, powołanego w jego rozporządzeniu woli ostatniej, a nieznającego tegoż warunku, stanowiąc, że pismo takie tylko do objaśnienia woli testatora użytem być może“. A więc kodycyl, choć nie podpisany, może być użyty do objaśnienia testamentu. Gdyby Osławski zmienił swą wolę, byłby poprostu przekreślił ustęp w kodycylu. Liczne listy testatora posiadane przez prof. Zolla dowodzą, jak mu sprawa fundacyi leżała na sercu. Prof. Zoll myślał nawet, iż Osławski cały majątek chce przeznaczyć na fundacyą, a więc sam mu zwrócił uwagę na krewnych, na co mu Osławski odpisał; „Majątek mój nie jest spadkowy, krewnych mam dalekich, dla których żadnych nie mam obowiązków“. Lepiej byłby wogóle zrobił „jeden z sukcesorów“ gdyby czekał rozstrzygnięcia przez sąd sprawy, wstrzymując się od polemiki, która do niczego nie prowadzi, a tonem swym niesmak wywołuje.

Członkowie rady miejskiej krakowskiej zdecydowali się nareszcie zrobić wspólną wycieczkę na wystawę krajową; dobrze więc, że wystawę odroczono, bo inaczej Lwów nie miałby przyjemności widzieć radców naszego miasta i przyjmować ich bankietem. — Komendant I korpusu w Krakowie hr. Uekuell-Gyllenbanda otrzymał inne przeznaczenie, a na jego miejsce przychodzi Albori. — Witold Pruszkowski, jak dochodzą wieści, otrzymał najwyższe odznaczenie na wystawie sztuki we Lwowie, a mianowicie dyplom honorowy. — W ostatnich czasach w kilku pismach niemieckich pojawiły się fejletony i specyalne artykuły o parku dra Jordana w Krakowie. Ponieważ wskutek tego nadchodzą zewsząd do twórcy parku zapytania o plany, wyjaśnienia, programy i t. d. przeto dr. Jordan wydał książkę, mieszczącą w sobie szczegółowy opis Parku, oraz wszystkich zabaw i gier młodzieży. — W fejletonie „Czasu“ p. Maryan Gorzkowski zamieszcza zebrany przez siebie materyał do życiorysu Matejki. — Ks. Stojałowski przyjęty został do dyecezyi antiwarskiej w Czarnogórze, ale naturalnie nie zamyśla w niej zamieszkać. — W teatrze przedstawiono jako nowość „Letników“ Przybylskiego. — „Głos Narodu“ drukuje nową powieść Ostoji: pt. Pan Bereźnicki.

K. Bartoszewicz.

KRONIKA WIEDENSKA.

I.

(Wiedeńska zarozumiałość. — „Volkssänger“. — Sztuka a publiczność. — Procesy o dzieciobójstwo i oszustwo. — Śmierć w hypnozie. — Zjazd przyrodników. — Z teatrów.

„Mir san Weaner Kinder, uns ist nit jeder gleich!“ — Znana to piosnka ludowa, śpiewana przez niesfałszowanych i podrobionych Wiedeńczyków, a charakteryzująca dosadnio ów przesadny szowinizm lokalny mieszkańców naddunajskiej stolicy, dający się chyba porównać tylko z samochwalstwem — Warszawiaków, upatrujących w swoim grodzie ideał wszystkich miast na całej kuli ziemskiej. Wiedeńczyk jest stale i święcie przekonanym, że po za jego Wiedniem kończy się wogóle cały świat cywilizowany, znika owa sławiona przez niego „Gemuthlichkeit“, mająca stanowić najpiękniejszą i najpotężniejszą cechę austryackiej metropolii. Jak w rzeczywistości owa cudowna G e m u e t l i c h k e i t wygląda, o tem możnaby szeroko i długo się rozpisywać, tojednak pewna, że podstaw do hymnów pochwalnych nie daje. Wiedeń — to olbrzymie i — co prawda — prześliczne „miasteczko“, w którem się „przyzwoici“ ludzie z kurami spać kładą i z kogutem rano wstają, a tylko drobna cząstka hulaszczej „młodzieży“, do której się także zaliczają przedstawiciele *habitués* nocnych lokali, podtrzymuje tak zwane „życie nocne“, koncentrujące się w tak zwanych „Nachtcafé“, gdzie zbiera się najmniej elegancka część wiedeńskiego towarzystwa — damskiego. Oczywiście nie ma to „życie nocne“ najmniejszego podobieństwa z ruchliwemi wieczorami paryzkiemi, berlińskiemi, lub — warszawskiemi, nie dziw też, że „prawdziwy“ berlińczyk z lekceważeniem spogląda na Wiedeń — będący dla niego z tego powodu wyobrażeniem „eines grossen Nestes“ i w lekceważeniu tem przekracza często wszelkie możliwe granice. Niedawno opowiadano mi o autentycznym liście redaktora jednego z najpoczytniejszych pism berlińskich, który tutejszemu współpracownikowi swojemu dał taką dyrektywę: „Pisz pan o wszystkiem, o czem Ci się tylko żywnie podoba, byle nie o tem co się dzieje we Wiedniu. Denn das interessirt uns halt gar nichts!“ Mimo to umieszcza ów pan w swojem piśmie bardzo wyczerpujące artykuły o artystycznem życiu wiedeńskiem, które jak dotąd berlińskiemu wyprzedzić się nie dało.

A jednak i poza artystycznem życiem posiada Wiedeń wiele cech, które może właśnie dla tego, że są wyjątkowemi w europejskiej stolicy, stają się jego okrasą, przyczyniając się do pewnej oryginalności życia tutejszego. Ludność wiedeńska, a właściwie ta jej sfera, na którą się składają prawdziwe „dzieci wiedeńskie“ sławione w piosnkach ludowych — przedstawia sama przez się wdzięczny materyał do obserwacyi, choć przyznać trzeba, że lata ostatnie widocznie grubo przyczynić się musiały do zatarcia najwybitniejszej jej cechy, owej słynnej „Gemuethlichkeit“, należącej obecnie — do legendy. Przyznają to zresztą sami Wiedeńczycy, a niedawno jeden z dzienników („Wiener Tageblatt“) tutejszych całkiem seryo zastanawiał się nad środkami uratowania tego „lubego przymiotu“ jego najbliższych współziomków. Najskuteczniejszym środkiem po temu ma być pielęgnowanie czysto ludowych zabaw i instytucyi specyalnie wiedeńskich, a w pierwszym rzędzie t. zw. „Volkssaengerów“. Któżby nie słyszał już jeśli nie samych „Volkssaengerów“ to choćby o nich? Niewątpliwie każdy — bo inaczej byłby chyba ostatnim ignorantem. Nie znać nazwiska najznakomitszego wiedeńskiego „Volkssaengera“ Edmunda Gueschlbaura — to znaczy posiadać poważną lukę w swoim wykształceniu, o której wypełnienie usilnie stara się krzewicielka oświaty austryackiej — dziennikarstwo wiedeńskie. To też nawet niepilny czytelnik dzienników wiedeńskich wie doskonale, iż „znakomity śpiewak“ obchodził świeżo jubileusz swojej artystycznej działalności w „Dreherparku“ (ogródku miejskim), w którym wzięli udział przedstawiciele inteligencyi tutejszej, oraz świat muzykalny i teatralny przez swych wybitnych reprezentantów; nie brakło oczywiście i wysłanników prasy, którzy potem w dytyryambicznych artykułach sławili domorosłego śpiewaka, „des Drahrerliedes“. Zaprawdę, Wiedeń umie czcić swoich artystów, nie tylko na scenie, lecz także na — ogródkowej estradzie.

Ktoby, sądząc z owych artykułów, umieszczanych w najpoważniejszych dziennikach, przypuścił, iż Wiedeńczycy naprawdę uznają wysokie zasługi artysty ogródkowego — myliłby się grubo. Trzeba się z bliska przyjrzeć tutejszej publiczności, aby zrozumieć, że tak nie jest — z tej prostej przyczyny, iż kwestya artyzmu wcale u niej nie wchodzi w rachubę. Oklaskuje ona tutaj zarówno gorąco „parforsy“ sztuki niemieckiej jak Sonnenthala, Wolterową, Baumeistra, Van Dycka, Girardiego i innych, jak i przedstawicieli lekkiej nawet dobrze podkasanej muzy i akrobatów cyrkowych. Wszystko jej jedno, czy w radzie miejskiej Lueger popisuje się wrzaskliwym dowcipem, czy w orfeum klowni angielscy rozśmieszają ją do łez — jednemu i drugiemu sypie brawa z tem samem przejęciem i z tą samą gotowością. „Wann's nur a Hetz giebt“ — była „heca“ była — reszta jej nie obchodzi.

Do tego też mianownika ściągnąć należy niezwykłe zajęcie się prasy wiedeńskiej, śledzącej bardzo bystro upodobania swojej publiczności, sprawą tak zresztą nieciekawą, jak rozegrany świeżo proces przeciwko dzieciobójczyni Silbigerowej, na którego temat czytałem arcypoważne studya psycho-etyczno-socyalne we wszystkich nieomal dziennikach, albo też procesem o szantaż i fałszywe zeznanie, w którym na ławie podsądnych znalazł się „dziennikarz“ wiedeński Hermann Geider, zausznik jednego z głośnych prowodyrów tutejszej partyi antisemickiej dr. Gessmanna i właściwy inscenizator głośnej swego czasu agitacyi parlamentarnej przeciwko towarzystwu assekuracyjnemu „Fenix“ i „Riunione italiana“, zakończonej zajściem ulicznem pomiędzy urzędnikiem tejże instytucyi Politzerem a deputowanym antisemickim Kaiserem. Dziennikarstwo tutejsze, składające się po połowie z żydowskich i antisemiskich przedstawicieli nie omieszkało oczywiście wyzyskać znakomitej sposobności do wzajemnego oszkalowania się, a najlepszy kąsek zdołał wyłowić dla siebie „N. W. Tageblatt“, któremu udało się ogłosić najpierw 8 listów deputowanego Gessmanna, nie odczytanych przy rozprawie a pisanych do Geidera w sprawie „Fenixa“, z których jedno wynika, iż prowodyrowie antisemickiej partyi tutejszej wypowiadali w parlamencie sążniste mowy, układane przez ludzi takich jak Geidler, i wznosili interpelacye w sprawach, o których — jak w sprawie „Fenixa“ nie mieli najmniejszego wyobrażenia, opierając się jedynie na datach, dostarczanych im przez podejrzane indywidua i szantażystów. Proces ten był tedy „hecą“ w całem tutejszem słowa znaczeniu; przytem atoli rzucił jaskrawe światło na austryackie stosunki parlamentarne, których nadgniły stan dałby się odkryć nie tylko w pośród takich partyi, jak antisemicka.

Skoro już mowa o sprawach poruszających cały Wiedeń, niepodobna nie wspomnieć o głośnym wypadku rzekomej śmierci w hypnozie. Jak może czytelnikom „Przeglądu“ wiadomo — wypadek taki zdarzył się w okolicy Nyiryghazy w zamku Tuszer na Węgrzech, gdzie córka właściciela dóbr Ella Salomon, zasłynąwszy w ciągu ostatniego roku jako medyum jasno-widzące w uśpieniu, nagle w czasie zwykłego seansu z hypnotyzerem Neukommer spadła z krzesła nieżywa. Z powodu tego podniosła się w całej prasie węgierskiej, a jeszcze bardziej wiedeńskiej, ogromna wrzawa. W pierwszym ferworze głośny neurolog Krafft-Ebing z wysokości swego trójnoga zadecydował, iż śmierć ta pozostaje w ścisłym związku z hypnozą, za nim poszli oczywiście wszyscy zwolennicy spirytyzmu i specyaliści minorum gentium; jedyny prof. tutejszego uniwersytetu Benedikt stanowczo wystąpił przeciwko przypuszczeniu, jakoby Ella Salomon w uśpieniu hypnotycznem przez działanie suggestyi mogła była nabyć choroby, która stała się przyczyną jej śmierci, a wszystkie cuda, ogłaszane z seansów zmarłej newropatki, sprowadził do zwykłych sztuczek spirytystycznych. Według najświeższych wiadomości twierdzenie Benedikta zda się mieć największą racyą, stwierdzono bowiem, iż Ella Salomon zmarła bezpośrednio przed seansem, a więc wcale nie mogła uledz suggestyi hypnotycznej. — Bawiący obecnie we Wiedniu wielki zjazd przyrodników i lekarzy austryackich, w którym między innymi biorą udział także profesorowie uniwersytetu krakowskiego: Pieniążek, Bujwid i Cybulski (znany przeciwnik spirytyzmu ze stanowiska naukowego) ma podobno zająć się specyalnie tym ciekawym wypadkiem, który mimo obdukcyi sądowej dotąd pozostał niewyjaśnionym, a — wedle doniesień niektórych pism — stanie się prawdopodobnie powodem zarządzeń prawodawczych na najbliższej sesyi parlamentarnej. Charakterystycznem dla wiedeńskiego humoru jest ukute z tej okazyi „bon mot“: „iż zjazd lekarski wyda wyrok salomonowy nad salomonową głupotą.“ Nawet tak poważny wypadek jest materyłem *„fuer a Hetz.“*

W życiu teatralnem Wiednia sezon jesienny,

jak dotąd nie zaznaczył się żadnemi „nowościami“, a jedynym ważniejszżm — według wyrażenia używanego w dziennikach — „wypadkiem dnia“ było wznowienie niegranej od lat dwudziestu opery Glucka „Ifigenia w Aulis“. Było to oczywiście przedstawienie, przeznaczone nie dla szerokiej publiczności, lecz dla grona znawców i miłośników poważnej muzyki, to też odbyło się przed pustą, nieomal widownią, pomimo, iż afisz wymieniał jako wykonawców i wykonawczynie najulubieńszych artystów i artystki opery nadwornej jak: Winkelmana, Ehrensteinową i Januszowską. Dyrekcya opery nadwornej zamierza mimo to w dwutygodniowych odstępach czasu przypominać publiczności wiedeńskiej stare, lecz nieprzestarzałe jesze dzieło Glucka. Z innych teatrów żywią się Burgtheater, Deutsches Volkstheater, również samemi wznowieniami: szczególną łaską cieszą się utwory Grillparzera, których aż trzy wystawiono równocześnie w Burgteatrze („Der Traum ein Leben“): w Volkstheatrze („Ein Bruderzwist in Habsburg“ i w przedmiejskim nowowyniesionym Raimundteatrze („Des Meeres und der Liebe Wellen“). Dla niezapalonego wielbiciela ciężkiej muzy austryackiego poety — było za wiele grzybów w barszczu, zwłaszcza, że prócz tych sztuk widział w repertoarze wymienionej na ostatku sceny szereg niestrawnych dramatów „fantastycznych“ zasłużonego zkądinąd dla wiedeńskiej sztuki Ferdynanda Rajmunda. Na najbliższe dni zapowiedziano w Burgteatrze „Mistrza z Palmiry“ Wildbrandta i Hannele“ Hauptmanna, w Operze szereg oper klasycznych i wagnerowskich, oraz „Pajace“ Leoncavalla. Repertoar ten nie zmniejszy atoli frekwencyi teatru „an der Wien“ ani „Carltheatru“, ściągających tłumy publiczności operetkami „Simplicius“ i „Książę Malachow“. Po krótkiem powodzeniu pani Boecska (polki) weszła na niebie operetkowem nowa gwiazda w osobie niejakiej Kopacsi Karczag, która umiejętnie podkasywaną toaletą, zgrabnemi łydkami i średnim głosem — entuzyazmuje Wiedeńczyków „*S'is halt a Hetz!*

Essi.

Z estrady i sceny.

(Maruder. Komedya w 3 aktach p. S. Graybnera).

Rozpatrując historyę talentów literackich spotykamy niekiedy dziwne nieprawidłowości i przykre niespodzianki. Schiller w Zbójcach zapowiadał wiele i spełnił przeczucia, Sudermann po obiecującym Honorze wzniósł się do Końca Sodomy i Gniazda rodzinnego, Zieliński natomiast wzbudziwszy wielkie nadzieje „Kirgizem“ spadł nagle do „Stepów“, a Graybner rzuciwszy na deski olśniewającego „Fredzia“, rozczarował „Maruderem“ zwolenników swoich.

Oba Graybnerowskie utwory — pomijam tu „Irenę“, której teatr poznański jeszcze nie zaprezentował — ujawniają pewne pokrewne rysy nietylko w wyborze tematu, lecz i w technice dramatycznej. Tu i tam rozgrywa się walka dwóch pokoleń, ojców i synów, tu i tam rozwiązanie grzeszy konwencyonalizmem, rażącym mianowicie w „Marudurze“ jaskrawością swoją. Pierwsze dwa akty Fredzia jednak były wręcz mistrzowskie tak pod względem kolorytu jak rysunku i kompozycyi, a charakterystyka osób zadziwiała żelazną logiką, plastyką i tą, że tak powiem, całością postaci, nierozpływającą się w powodzi drobiazgów, lecz wyłaniającą się jako typ wyrazisty z kresek, plamek i szczegółów otoczenia. W Maruderze niestety dłoń pewna zawodzi artystę. Gdzieniegdzie jeszcze znać dawną siłę, jakiś rys świetny i barwy żywe, ale niebawem mgłą wyczerpania zapływa moment szczęśliwy, ręka autora się chwieje, kolory bledną i w portret świetnie zaczęty wkrada się szablon banalny lub wręcz dziwoląg rysunku.

Jakaż to n. p. wspaniała postać ten stary Horosz, — duch zabłąkany z minionych wieków w świat nowych ludzi, prądów i widnokręgów. Mrokiem dziejowym owiane królestwo ojca w rodzinie żywe znalazło wcielenie w tym niedobitku starego pokolenia. Jest tam ten absolutyzm bezwzględny, którego my wyznawcy praw indywidualizmu nawet w stosunku dzieci do rodziców dziś już nie uznajemy, — jest jakieś Cezarowe „sic volo sic iubeo“, które etyka nowoczesna wymazała z katechizmu swojego, ale jest również sympatyczne tchnienie rodzinnego patryarchatu i świętości domowego ogniska, na którego straży stoi ten starzec z herbarzem w ręku i — szlachectwem w duszy. Kastowa zawziętość starego Horosza, — ewangelja „Niesieckich i Paprockich, na którą przysięga, przemawia do naszych pojęć wyrazem śmiesznego dziwactwa, ale gdy ten szlachcic zapleśniały mówi synowi swojemu: „Idź i zabij się, bo splamiłeś honor rodziny“, wtedy śmiech ironiczny zamiera na ustach — szlachcic wioskowy urósł w Rzymianina.

Niestety wykończenie typu starego Horosza zdradza brak konsekwencyi i chwiejność rysunku. Autor w pierwszych dwóch aktach wsączył w tę postać tyle pogardy dla „potomków Chama,“ tyle staroszlacheckich uprzedzeń i tyle uporu, że nagła uległość jego w trzecim akcie staje się logicznym łamańcem. Owe kilka tysięcy reńskich, któremi plebejuszowski konkurent do ręki panny Horoszanki pokrywa dług młodego Horosza, są nadto słabym motywem dla metamorfozy twardego starca. Tak nam w dwóch pierwszych aktach okuto w pancerz żelazny tę postać, że uwierzyć trudno, aby przyjacielska usługa „człowieka z gminu“ roztopić ją mogła.

Podobne niekonsekwencye wykazują również inni bohaterowie komedyi, — że wspomnę tylko postać młodego obywatela, odtworzoną z zwykłą elegancyą i swobodą przez p. *Knapczyńskiego*. Znałem wprawdzie żaków szkolnych, dzielących serce swoje na 5 i 10 Beatrycz, a zakochujących się na każdej „lekcyi tańca“ w innej pensyonarce, lecz ten *dojrzały* młodzieniec wzdychający dziś do Natalii, a jutro zakochany na zabój w Basi, trąci nieco za bujną fantazyą. Zresztą wybaczyłbym ostatecznie problematyczność wiejskiego motyla p. Graybnerowi, gdyby nam to elastyczne serce odsłonił zręcznem pociągnięciem pędzla i przygotował widzów na efekt końcowy. Ale zwrot od Natalki do Baśki jest dziełem jednego momentu. Kochasz mnie Natalko? Nie kocham! Więc kocham się w Baśce! Udało się salto mortale i utwór kończy się sakramentalnie.

Zdaje mi się, że Graybner wzniósłby się wysoko, gdyby raz wreszcie zechciał zapomnieć o tuzinkowej zasadzie dramatycznej: Ende gut, alles gut. Ten dogmat wiedzie go na manowce konwencyonalnych fałszów i tłumi nietylko zmysł realizmu, lecz wręcz poczucie piękna. Po wielkiem naprężeniu dramatycznem zjawia się nagle takie słodkie finale, taka cukierkowa niespodzianka, takie jakieś „Tant de bruit pour une omelette“, że wszystko to wygląda na żart niesmaczny. Maruder jest klasycznym przykładem konwencyonalnych formułek, spekulujących na banalne upodobania przeciętnej publiczności. Stary Horosz wyrzuca oknem kastowe uprzedzenia, młodemu Horoszowi znajdują się zgubione pieniądze w poszewce paletotu, Rzepny przyznaje się nagle po uzyskaniu ręki Natalki ni ztąd ni z owąd do „krwi niebieskiej“, a trzpiotowata Baśka znajduje męża. Jednem słowem jak w bajce z 1001 nocy. Królewicz pokonał wszystkich olbrzymów i smoków, królewna wsadziła w piec czarownicę: a jeżeli nie umarli, żyją dziś jeszcze i rodzą dzieci w szczęściu i weselu.

Z artystów należy się niewątpliwie palma pierwszeństwa p. *Królikowskiemu* w roli starego Horosza. Nie zgadzam się z tym wytrawnym artystą w pojęciu odtworzonego typu, który według mojej opinii więcej energii i siły niż jowialności posiada, ale pomijając samo założenie, była to postać jednolita konsekwetnie przeprowadzona i w chwilach bólu prawdziwie dramatyczna. Mniej szczęśliwie wypadła postać Zygmunta w grze p. *Sosnowskiego*, który synowską uległość tej bladej i mglistej roli posunął do karykatury i nawet w chwilach ubliżających posądzeń na silniejszy nie zdobył się akcent. Reżyserya nie powinna artyście stworzonemu do ról bohaterów i kochanków salonowych narzucać zadań zupełnie dlań niewłaściwych.

Pan *Łaski* odtworzył rolę Pękalskiego, mimo niezgodnych z postacią zapalonego Nemroda warunków zewnętrznych, z wielkim humorem, swobodą i życiem. Artysta ten jest jednym z najlepszych komicznych amantów, jakich zdarzyło mi się widzieć w ostatnich latach na poznańskiej scenie, ale pragnąłbym szczerze na zakresie tym ograniczyć sceniczną działalność jego.

Z kobiet występujących w sobotniej premierze zasługuje na wyróżnienie p. *Wróblewska* uderzająca dystynkcyą i swobodą ruchów, oraz p. *Jakubowska*, wesoła, lekka, filuterna Basia. Pani *Majdrowiczowa* była niesmaczną łez fontanną. *W. R.*

NA WYŁOMIE.

(Kto winien? Toruński socyalizm. Lwowskie deklamacye i gorzka pigułka. Lekcya „stósowności“)

Stary, cichy i ponury Toruń wre dzisiaj, kipi i tętni życiem gorączkowem. Jak wielki posępny znak zapytania sterczy gród nadwiślański w oddali, a wewnątz żal, niepokój nerwowy i spotęgowany ucisk administracyjny. Wszyscy szukają winy lub winnego, bo nie ulega już obecnie żadnej wątpliwości, że cesarska krytyka zwróconą była do *toruńskich* Polaków i w jakiś fakt zagadkowy lokalnej natury godziła. A gdy najsumienniejszy rachunek sumienia nic nam nie odsłania, gdy wrogich państwu dążności i zamysłów nie ma w społeństwie polskiem, zjawia się nagle słowo syczące jak żmija: Intryga i denuncyacya. Słowo to rośnie, potężnieje, pali mieszkańców Torunia. Wieść niesie, że cesarz na dworcu rzucił burmistrzowi takie półciemne wyrazy: „Wiem bardzo dobrze, czemu to powiedziałem. Informacye moje są dokładne“. Któż zatem informował cesarza, któż rzucił cień podejrzenia na toruńskich Polaków, któż kłamliwym podszeptem zrumienił gniewem królewskie oblicze? Mówiono wiele o niemieckich doradzcach. Wymieniano nawet wybitne osoby z świata urzędniczego, — ale pogłoski te po bliższem zbadaniu sprawy okazują się luźnym, bezpodstawnym domysłem. Z Torunia dziś inne, zadziwiające nadchodzą wieści. Mówią coraz głośniej i coraz dokładniej o polskiem źródle informacyi cesarskich, a wskazują je tam, gdzie każda opozycya narodowa mieni się socyalizmem, anarchją, lub Kościeleckim rozbojem. Na razie nie wymieniam żadnych nazwisk i bliżej nie charakteryzuję skandalicznego zdarzenia, bo sprawa ta rozegra się niebawem przed trybunałem wiecowym i odsłoni bezmyślną dyplomacyę pewnych koteryi. Dziś tyle tylko powiedzieć mogę, że w historyi zjazdu Pelplińskiego znajduje się podobno polska petycya wysłana do Berlina, a w niej ilustracya zachodnio pruskiej dzielnicy, jako polskiego gniazda rozpanoszonych, zarażonych socyalizmem żywiołów przewrotu, które stłumić trzeba wielką demonstracyą o charakterze konserwatywnym i skupieniem wszystkich obrońców „ładu i porządku“.

Wieść ta rozjaśnia ciemności. Ten cesarz niemiecki, rzucający w każdem przemówieniu swojem rękawicę socyalizmowi, uwierzył polskiej informacyi, uwierzył w egzystencyą „czerwonego“ Torunia i skarcił go w mowie pamiętnej. Takie tłomaczenie odznacza się *stylowem* prawdopodobieństwem. Cesarskie słowa to bój z socyalizmem w lokalnem zastósowaniu, to potępienie toruńskich Polaków za rzekome hołdowanie ideom przewrotu.

Powołano nas do porządku za winy urojone. My powołajmy do porządku człowieka, sączącego nieufność do ludu polskiego w serce monarchy. Niemiłą wprawdzie staje się rola prokuratora i sędziego, jeżeli oskarżony

działał w uczciwej intencyi, jeżeli korona zasług narodowych wieńczy czoło jego, a w piersiach serce bije gorące, ale nam przed świętym nawet pióra łamać i ust zamykać nie wolno, gdy w chwilowym obłędzie lub lekkomyślnym porywie krzywdę sprawie publicznej wyrządza. W takiem niemiłem położeniu znajduję się nieraz, szkicując obrazki lwowskich kongresów, zjazdów i owacyi.

Czytamy szumne sprawozdania z wystawowych bankietów, słyszymy patetyczne „Pije Kuba“ gospodarzy i gości, a potem dumamy w rozkosznem marzeniu nad wielkością ojczyzny naszej. Zaiste! gdy Poznań kłania się Galicyi i mówi głosem piorunowym: Tyś wielka! a Galicya kłania się Poznaniowi i odpowiada z czarującym uśmiechem: Tyś większy jeszcze najmilszy! to jakieś wielkie złudzenie i wielka duma narodowa umysł ogarnia. Sen piękny jednak po chwili w nicość się rozpływa. Zimny rozsądek płoszy widziadła barwnych fantazyi, zapisanych w księgach wystawy ręką naszych posłów, publicystów, polityków lub innych „nadzwyczajności“, a równocześnie zjawia się obawa złośliwej i przykrej dla nas reakcyi. Po tych wszystkich egzaltacyach retorów poznańskich i galicyjskich, ukazuje się w dali widmo opinii z ironicznym uśmiechem i przepuszczając przez sito krytyczne cały bombast bankietowy, nie szczędzi gościom i gospodarzom gorzkich komplementów. Posłuchajmy n. p. co lwowskie czasopismo „*Goniec* i *Iskra*“ mówi o jubileuszu „Towarzystwa gospodarczego“ w mieście wystawy:

„Jubileusz Towarzystwa zakończył się bankietem w hali koncertowej na placu wystawy, na którym wnoszono liczne toasty; zdaje nam się jednak, że komplement w toaście pana Brykczyńskiego dla Wielkopolan, iż „oni są dla nas mistrzami cichej pracy i ekonomicznego postępu“ — w rażący sposób nie zgadza się z prawdziwym stanem rzeczy. Szlachta wielkopolska, jako gospodarze i właściciele, dając się wypierać niemcom ze swoich dziedzictw, lub sprzedając takowe komisyi kolonizacyjnej — może tylko służyć za przykład, jak się dziać nie powinno, a przedewszystkiem, aby nie żyć nad stan. Gościnność dla delegatów poznańskich gościnnością, ale prawda prawdą, której nie wolno obrażać nawet na bankietach, zwłaszcza, gdy się ob chodzi 25 — letni jubileusz tak użytecznej i patryotycznej pracy naszego Towarzystwa gospodarczego — i zwłaszcza, że nie trzeba nigdy kosztem jednych, wywyższać drugich. Ze szlachty polskiej, w porozbiorowych dziejach, najmniej zasług dla społeczeństwa położyła szlachta wielkopolska, czy tam poznańska. O tej pracy nad ludem, dużoby się dało powiedzieć, a tu nie miejsce; — zauważyć jednak należy, że gdy lud tamtejszy ludowych wydawnictw spożywa setki tysięcy — szlachta i mieszczaństwo wielkopolskie, jako konsumenci w literaturze i sztuce, redukują się do minimum i we wszel kich przedsiębiorstwach wydawniczych, nie bierze się ich nawet w rachubę“...

Jest w słowach powyższych niewątpliwie wiele przesady, ale zasłużona to kara za wszystkie dziwolągi krasomówcze lwowskiej wystawy. To polskie „Kochajmy się“ zamienia się w pewnych chwilach w jakiś byzantynizm wzajemny, graniczący z obłąkaniem nieomal. Gdy zaczniemy przy szampanie rozkrzykiwać zasługi polskie, wtedy istotnie nie ma nas hamulca. Ojczyzna nasza to obiecana kraina, a ludzie legion aniołów! Upajamy się dymem kadzideł, aby następnie krzywić usta boleśnie, łykając gorzkie pigułki rozmaitych pism i pisemek.

Co do mnie to tyle goryczy przełknąć już musiałem, że obecnie jak Mitridates na truciznę, niewraźliwy jestem na dziennikarskie satyry, — mianowicie wtedy, jeżeli znamiennym ich rysem jest fałsz i ambaras. Przypominają sobie zapewne czytelnicy feljetonów moich, że scharakteryzowałem w przeszłym numerze pewien wybryk dyrekcyi teatralnej i wyraziłem zdziwienie, że pokrzywdzona redakcya „Gońca Wielkopolskiego“ nie upominała się o prawa swoje.

W odpowiedzi na uwagi moje oświadczyła „Gońcowa“ trybuna, że apostrofa ta jest „conajmniej niestósowną“ (sic) ponieważ redakcya prosiła o wyjaśnienie p. Dobrowolskiego i otrzymała zupełną satysfakcyą. All right! Wobec tego nie pozostaje mi nic innego jak dopełnić czarę moich niestósowności i podać tu kilka dat kalendarzowych.

Niemiła rekuza przy kasie teatralnej spotkała „Gońca Wielkopolskiego“ 23-go września (niedziela); pokrzywdzona recenzentka nadesłała w dniu 24 września o godzinie 8 rano artykuł, który skazano na banicyą do kosza redakcyjnego (!) W dniu 28 września (piątek) o godzinie 5 wieczorem oświadczyłem w obecności osób trzecich redaktorowi, że w interesie prasy poruszam tę sprawę w feljetonie moim, wysłanym przed chwilą do druku, i wyraziłem zdziwienie nad „cierpliwością“ „Gońca Wielkopolskiego“. Ku największemu zdumieniu dowiedziałem się przy tej sposobności, że kolega po piórze uważa postępowanie dyrekcyi poniekąd za słuszne, — dalej, że na pięciodniowej przestrzeni nikogo o wyjaśnienie sprawy nie prosił, — wreszcie, „że nie warto żądać od dyrekcyi zadośćuczynienia“. Po godzinnej dyspucie dopiero ustępować i chwiać się począł pan redaktor.

Nazajutrz ukazał się mój „feljeton w „Przeglądzie“, a w „Gońcu“ lekcya o załatwieniu sprawy i „niestósowności“ Sulli. Nic więcej nie powiem.

Te suche fakty są wymownym dowodem taktu i logiki w redakcyi „Gońca Wielkopolskiego, — tej nowej, „odświeżonej“, nieco anemicznej.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

Konstytucya ateńska Arystotelesa z greckiego przełożył na język polski Józef Wierzbicki. Wadowice 1894 str. 69.

Niedawne odkrycie Konstytucyi ateńskiej Arystotelesa wywołało liczne dzieła, rozprawy i artykuły. Nawet w naszej literaturze posiadamy trzy rozprawy o Konstytucyi, pióra Dr. Ćwiklińskiego w „Przeglądzie Polskim“, pana S. D. w Bibliotece Warszawskiej i prof. Schneidra w lwowskim Przewodniku naukowo-literackim. Oprócz studyów nad „Politeą“ pojawiły się w literaturze europejskiej liczne jej przekłady; naszej literaturze pierwszy p. Wierzbicki przyswoił to dzieło tak ważne dla filologów, oraz historyków praw i dziejów starożytnych. W przekładzie swym trzymał się tłomacz przeważnie wydania Kaibla i Willamowitz-Moellendorfa, lubo korzystał i z wielu innych wydań i tłomaczeń Politei. Nazw greckich, a zwłaszcza ateńskich instytucyi nie spolszczał; pozostawił również imiona osób w greckiej transkrypcyi. Opuścił całkiem końcowe rozdziały Konstytucyi które się tylko w ułamkach przechowały. We wstępie palnął autor niesmaczny komplement, pisząc, że chciałby, aby „ktoś kiedyś piórem tłomacza Macaulaya“ dał przekład mistrzowski Konstytucyi. Tłomaczem Macaulay'a jest prof. Tarnowski i autor trafił kulą w płot, nazywając jego przekłady mistrzowskiemi I pochlebstwo winno mieć swoje granice.

K. B.

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości społeczne i polityczne. Interwiew ks. arcybiskupa Stablewskiego w sprawie ruchu polskiego na Szląsku sprostował w nieco ogólnikowej formie „Kuryer Pozn.“ i „Dziennik“. Natomiast ustęp dotyczący charakterystyki p. Kennemanna sprostował urzędowo kapelan arcybiskupi w „Posener Tageblatt“. — Pogłoska o francuzkiej blokadzie portów Madagaskaru nie potwierdza się. — Pierścień żelazny, którym Japończycy Peking otaczają, zwęża się coraz więcej. — Związek ku obronie „uciśnionej niemieckości“ (!) w prowincyach wschodnich odbył już pierwsze posiedzenie swoje. Związek ten dąży w pierwszej linii do zabicia przemysłowców polskich przez popieranie handlu niemieckiego i radykalnego wyparcia naszych wielkich i małych właścicieli ziemskich. — Patrotyczną mowę księcia Sapiehy wobec reprezentantów krakowskiej rady miejskiej uważają dzienniki niemieckie za odpowiedź na toruńską mowę cesarza Wilhelma. — Proces w sprawie rozruchów w Antonienhütte na Górnym Szląsku rozpoczął się w czwartek. W rozruchach tych zabito jednę kobietę i obsypano gradem kamieni żandarmów. — Interwencya Anglii w sprawie koreańskiej zyskuje na prawdopodobieństwie.

Zjazdy i kongresy. Na kongresie międzynarodowym hygienicznym w Peszcie przyjęto następujące desiderata: wprowadzenie nauki hygieny do szkół średnich i wyższych, ograniczenie użycia wódki za pomocą środków podatkowo-celnych, ulepszenie zdrowotności miast środkami specyalnie wskazanemi, wreszcie wniosek przyjęty przez część kongresu: ograniczenie pracy fabrycznej do ośmiu godzin. — W Rydze odbędzie się dziesiąty kongres archeologiczny. — W Poznaniu odbył się zjazd koleżeński tych wychowańców gimnazyum ad St. Mariam Magdalenum, którzy w r. 1869 uzyskali świadectwo dojrzałości. — W listopadzie odbędzie się w Krakowie zjazd młynarzy galicyjskich.

Wystawy. W Mińsku odbyła się pierwsza wystawa Tow. ogrodniczego. — Na r. 1895 zapowiadają powszechną wystawę sztuk i przemysłu w Bordeaux. — Na powszechnej wystawie paryzkiej w r. 1900 znajdować się będzie specyalny oddział sportowy. — W Rzymie odbyła się wystawa przedmiotów służących do hygieny.

Teatr i muzyka. „Teatr poznański“ wystawia dziś po raz pierwszy wesołą farsę „Ciotka Karola“ Charleys Tante). — Dramatyczne towarzystwo Ratajewicza, dające przedstawienia w Piotrkowie, połączyło się w jedność z trupą p. Cybulskiego i pod jego dyrekcyą występuje w Częstochowie. — Tow. pod dyrekcyą p. Józefowicza otwarło sezon w Lublinie komedya Bliźińskiego „Pan Damazy“. — W teatrze lwowskim odegrano krotochwilę Ant. Siemaszki p. t. „Mąż w powijakach“. — Fr. Coppée pisze nowy dramat p. t. „Pretendent“. — Warszawianin p. Rothmil, tenor opery berlińskiej, zaangażowany został do Sztutgardu.

Rzeźba i malarstwo. Wystawa obrazów w foyer teatru poznańskiego rozpocznie się niebawem. Utalentowany malarz nasz p. Stryczyński zapowiedział portret ks. Ant. Sułkowskiego na białem tle — Poznańczyk p. Wład. Marcinkowski, otrzymał na wystawie lwowskiej medal bronzowy za rzeźby swoje: „Matka z dzieckiem“ i „Portret ks. arcybiskupa Stablewskiego“. Najwyższe nagrody (dyplom honorowy) zdobyli Józef Chełmoński i Witold Pruszkowski.

Zmarli:

Jan Chrzciciel de Rossi, słynny archeolog włoski zm. 20 września w Castel Gandolfo pod Rzymem.

Augusta Webster, wybitna poetka i literatka angielska zm. w Londynie.

Odpowiedzi Redakcyi.

Wera. Piękno może być nawet w takich utworach sztuki, które katechizmowa moralność potępi. Ola Hansson i Strindberg posiadają talent nadto wybitny, aby rodzaju ich tworczości nie przedstawić czytelnikom naszym. Przypominamy raz jeszcze, że „Przegląd“ redagujemy dla ludzi dojrzałych.

Ks. prob. K. Anonimu Maurycego Zycha bez pozwolenia autora odsłonić nie możemy. Jest to jeden z najwybitniejszych nowelistów współczesnych, a uznanie księdza Dobr. dla talentu jego podzielamy zupełnie.

Mikros. Utwory nadesłane zdradzają niewątpliwe zdolności literackie. Radzimy dalej w tym kierunku pracować.

BIBLIOGRAFJA.

Marya Weryho. Co się z czego robi i zkąd pochodzi? Zbiór praktycznych wskazówek dla wychowawców i nauczycieli początkowych. Warszawa 1894. Nakł. G. Sennewalda.

I. Strzemeska i M. Weryho. Wychowanie przedszkolne. Podręcznik dla wychowawców. Warszawa. Nakł. I. Paprockiego i Sp. 1895.

Wilhelm Feldmann. Nowi ludzie. Powieść w 2 tomach. Lwów 1894.

Składki

Na fundusz w sprawie dzieła konkursowego o Karolu Marcinkowskim złożyli: Marya Kr. 5 marek. Dr. med. Jan Stasiński 6 marek, Jan Nowicki z Ostrowa 5 marek. Razem 15 marek.

Dotychczas zebraliśmy na cel powyższy 519,50 mk.

Na fundusz im. Tadeusza Kościuszki złożyli: Jan Nowicki z Ostrowa 5 marek.

Dotychczas zebraliśmy na cel powyższy 109 marek.

O dalsze składki prosimy gorąco.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Masław Zmorski z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.